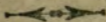


BEZPŁATNE DODATKI „ZIARNA.”

VI.

---

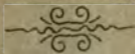
Juliusz Bois.



# Wrażenia z Indyj.

---

Część II.

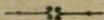


WARSZAWA.  
Nakładem „Ziarna”.



1905.

## Oprawa dodatków „Ziarna”.



Pp. Prenumeratorowie „Ziarna”,  
życzący sobie otrzymywać dodatki  
(12 tomów podręczników popularno-naukowych) w oprawie  
z płótna angielskiego, ze złożonymi  
wyciskami, dopłacają tylko za  
koszt oprawy

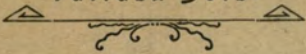
po  $16\frac{2}{3}$  kop. od tomu



czyli **50 kop.** kwartalnie.

---


*Należność za oprawę można nadsyłać  
markami.*

Juliusz Bois.

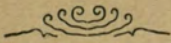


Wrażenia   
 z Indyj.

*Przekład E. Węstawskiej.*



CZĘŚĆ II.



WARSZAWA.  
NAKLĄDEM „ZIARNA.”

—  
1905.

43829

MUSEUM ZOOLOGICUM

BIBLIOTEKA

K. ~~1228~~ 1230.

Дозволено цензурою

Варшава 5 Мая 1905.

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

**K. 1230-2**



1000000000133

Druk A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat Nr 47.

<http://rcin.org.pl>

## ROZDZIAŁ IV.

### Himalaje.

Tygrys. — Na szczytach. — Naini-Tal (jezioro Miłości i Śmierci). — Wyrzekania hotelarza. — Dwie Dyablice. — Dziewica w Himalajach. — Wzniosła noc. — Mahatma. — Ogień zapalony słowami niewidzialnego. — Z lampartami. — Utopiona para. — Pracunki. — Nigra sum sed formosa.

### *Tygrys.*

Wyjechałem z Lucknow i udałem się do Naini-Tal, jeziora oprawionego jak szafir w śnieżnej koronie Himalajów. Rozstałem się z moim przyjacie-

lem, który dla szyku udał się do Simli. To także stacya w Himalajach, ale gdzie obecność w porze letniej wicekróla przyciąga eleganckich turystów i małżonki „deputowanych komisyonerów,” generałów i „kollektorów.”

W Simli milkną Indye, tryumfuje elegancka Anglia i Ameryka. Ale Naini-Tal odwiedzany jest zaledwie od lat trzydziestu. Dawniej, w pobliżu tego świętego jeziora w królewskim łonie gór, znajdowała się tylko nieprzebyta jungla, rojąca się tygrysami i temi małemi lwami, bez grzywy, których pełno w Himalajach. Naini-Tal jest blisko sławnego szczytu „China,” gdzie jak mówią, przemieszkuje cadowny asce-ta, człowiek-bóg, Mahatma. Idę do tych śniegów, tajemnic i dzikich bestyj... Tymczasem znajduję się na małej stacyjce w nocy, jedyny europejczyk. Dziesiąta; aż do dwunastej oczekiwać muszę na pociąg do Bravery, ostatniej stacyi „Oudh and Rohitkand Railway.” Tam wsiądę na oczekującą mnie „ton-gę”. Stacje nawet w tych oddalonych miejscowościach, są urządzone z pewnym komfortem którego my francuzi nie znamy, ale chętnie z niego korzystamy. Naczelnik stacyi zaprasza,

bym spoczął w „rest-room“ rodzaju sali poczekalnej, gdzie spać można. Naturalnie, nie podróżuję bez kółder tak grubych jak materace, bez poduszki, prześcieradeł, składanego łóżka w Indyach niezbędnego. Na kółkach drewnianych Rozian, mój „boy“ zaściela mi. Podczas tego zanurzam się w wannie, będącej w „rest-room,“ i zażywam krótkiego odpoczynku...

Gdy się zbudziłem, ogarnął mną nieopisany smutek, ta choroba samotności, zabierająca więcej (niż) pomiedzy Europejczykami, niż malaria, czarna ospa, cholera. To spleen specjalny, złożony z wiecznego smętku Indyj, z tęsknoty za krajem, z tego niepokoju, osłabienia, nieopuszczającego cię w tej ojczyźnie gorączek, głodu i dżumy; ręce ci potnieją, umysł się zaciemnia, puls bije niepokojąco, wątroba puchnie, zatruty pot zlewa twoje ciało.

Czujesz się nieswój, wyrwany ze słodkiej Europy, zdala od ramion i uśmiechu ukochanej, boisz się skorpionów i węzów, czujesz nieokreśloną niechęć w tych otaczających cię czarnych twarzach; w głębi tych ludzi czuwa dusza tak inna, nigdy nie zbadała! Chciałoby się mieć jakąś ser-

deczną przystań; marzy się o kościele odwiedzanym w dzieciństwie, by wypłakać się przed Bogiem matek naszych, zdala od tych rozpaczliwych, krwawych świątyń... Tu nikt, albo prawie nikt nie mówi po angielsku; ani jednej białej twarzy. W około mnie tłoczą się nędzne stada krajowców w łachmanach, popychane przez urzędników, którzy właśnie może dla tego, że są z tej samej rasy, traktują je jak zwierzęta. W dali—nieznane ciemności, kraj tajemniczy i groźny! Patrzą na deseczkę umieszczoną na jednym z wagonów okratowanych, jak klatka zwierząt. „Natives females“\*) napisano brutalnie.

Czyż to są rzeczywiście kobiety, te nieszczęśliwe obwiązane błyszczącymi fularami, drżące, ogłupione, których umysł ciemniejszym jest od nocy i od ich twarzy pobrudzonych znakami diabelskimi?...

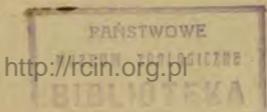
Rozian przeniósł moje łóżko do wagonu, który przewiezie mnie do stóp najwyższych gór na świecie. Unosi mnie pociąg wązkotorowy. Kładę się

---

\*) Krajowe kobiety.



jeszcze, gdyż nie zdjąłem mego „pe-  
dyama“ (szlafrok). Ten ubiór nocny  
praktyczny i przyzwoity, prawdziwie  
angielski, jesteś w nim ubrany i roze-  
brany jednocześnie, jest rodzajem ko-  
szuli nocnej, składającej się z szero-  
kiej bluzy i spodni obszernych. Uzy-  
skałem pozwolenie na zatrzymanie me-  
go „boya“ w sąsiednim oddziale. Za-  
wijam się w kołdry, które dla hygie-  
ny, w celu przepuszczenia powietrza,  
przedziurawione są to tu, to ówdzie.  
Po raz pierwszy w Indyach czuję chłód.  
Śpię niezdrowym snem. Nagle budzę  
się. Spuszczam okno, chcąc wyrzeć.  
Przedemną mur powiązanych ze sobą  
lianów (roślin), niebo bez gwiazd, nie-  
przeniknione ciemności spowijają zie-  
mię. Przecinamy junglę. Wówczas  
dziwny odgłos rozlega się w tych cie-  
mnościach, wrzask już słyszany bez  
wątpienia, ale wydaje mi się nowym,  
tak jest pełnym życia; to ryk! Nie  
jest on tak oddalonym, jakby mi się  
zdawać mogło; gdyż—jest-że to złu-  
dzeniem nocy?—dwa światła fosforycz-  
ne zabłysły i zgasły, jak olbrzymie  
błyszczące robaki w ciemnej trawie...  
Nie, nie śniłem. Przejeżdżamy ojczy-  
zną, nie dających się wytepić dzikich



bestyj, zanim znajdziemy się znów w krainie cierpliwych wołów i wdzięcznych wielbłądów... Zamknąłem okno. Ten nowy dreszcz zbudził mnie z dawnego obezwładnienia. Z oczami otwartemi marzę, przypominam sobie historię, opowiedzianą mi w Kalkucie przez pewnego inżyniera. Wytknięto nową linię od strony Yaypore. Był wówczas zwykłym inżynierem i spał z towarzyszem w pociągu, który codzień dalej zarzucał swe podwójne żelazne ramiona. Upał był tak straszny, iż zostawiali okna i drzwi otworem.

— Pewnej nocy — opowiadał mi — gwałtowny wiatr musnął twarz moją, obudziłem się cały drżący; ujrzałem tylko jakiś skok fenomenalny, coś olbrzymiego, rudego, zawisło sekundę nad moją głową. Przerażony, wyskoczyłem na drogę i później nabrałem odwagi, zbudziłem robotników i z bronią w rękę, przy blaskach pochodni zbliżyłem się. Wagon był pusty. Nie widziałem już nigdy więcej mego przyjacielea. Znikł razem z tygrysem, nie mając ani czasu, ani siły, by krzyknąć...

---

### *Na szczytach.*

W Bravery, pijąc ranną herbatę, oddycham powietrzem równin, ciepłem jeszcze:

— Sâb, nałóż płaszcz. Za chwilę będzie strasznie zimno.

Szczupły Rozian drży już za wczasu i obwija mnie w futra, jak mi się zdaje zupełnie nie na czasie, ale nie opieram się, szczęśliwy z tej troskliwości, pozwalającej na chwilę zapomnieć o mem opuszczeniu.

Nie dobrze jest mieć długo służbę indjanina... Wróciwszy do Europy, nie można znosić innych służących.

Subtelna jego służbistość czyni z ciebie niewolnika, odsuwa od ciebie wszelkie troski, bada twe upodobania i pamięta o nich, staje między tobą a światem, opiekuje się każdą twą czynnością, zmienia ją zależnie od swego kaprysu. Przypominam sobie jakiegoś konsula cudzoziemca w Kalkucie, który musiał odesłać swego „boya,” ponieważ zdołał on nałożyć podatek nawet na gości. Młodzi angielscy ofice-

rowie są specjalnie ofiarami tych despotycznych służących. Miłostki ich zależą nawet od tych „boyów” dopisujących do rachunków tygodniowych, kilka rupij za to, co nazywają: „przyjemnościami Sâba”..

Towarzystwo wysłało dla mnie nego „tongę”. Jest to najprostszej konstrukcyi bryczka, bez resorów i oparcia, ładniutka jednak, jakby zbudowana przez małą stolarza. Otwarta na wszystkie strony, posiada dach drewniany, lub z blachy żelaznej. Obok mnie siada woźnica indus, poważny, z obfitą brodą i spiczastym turbanem. Nie widziałem tak zręcznego powożenia. Konie dziwacznie dobrane, nie ujeżdżone, prawie dzikie, często znarowione. Mają całą swobodę, kółkiem żelaznem do takiegoż jarzma są zaprzężone.

Droga nie jest złą, lecz niebezpieczną; niema poręczy, a z obu stron znajdują się straszne przepaście, co chwile zaś pojawiają się na drodze wozy zaprzężone wołami, naładowane wozami i beczkami. Nasza tonga musi przebywać olbrzymie kupy kamieni, przeslizgiwać się między ciężkimi wozami. Ruchy te wykonywa z pełnym godno-

ści spokojem i prawie cicho. Jakże inaczej się dzieje z naszymi paryskimi woźnicami, obrzucającymi się obelgami za byle co! Co sześć lub siedm kilometrów zmieniamy konie. Nie wiele zabrałem rzeczy, wielki trzciniowy kosz ze mną, na którym siedzi Rozjan w kołdry owinięty; waliza moja przywiązana u boku tongi, po nad kołami, za pomocą sznurów splecionych ze zręcznością dzikich, estetyczna i dziecinna zarazem. Parobek nieustannie się kręci, to drapie się na dach, to siada konno na moim worku, to prawie na koniach. Zamienia od czasu do czasu kilka słów pożytecznych z woźnicą, którego biczysko o krótkim kiju, nie dotyka nigdy skóry końskiej, gdyby nawet koń zupełnie się zbuntował. Nie używa tego sposobu barbarzyńskiego, zbyt zachodniego i nie czuje tego potrzeby. Jakaś subtelna łączność wiąże go z temi zwierzętami, jak gdyby człowiek i zwierzę w tym starożytnym kraju mówili jeszcze tym samym językiem, tą samą posiadali duszę... Marzy się o bajecznych epokach w początkach świata; pojmuje się myt o centaurze, doskonałej harmonii człowieka z koniem.., To też bat ten, prze-

stał być batem, a stał się berłem. Woźnica podnosi tę broń niewinną, trzyma ją chwilę w powietrzu z lekkim gwizdnięciem, a najbardziej uparte konie unoszą natychmiast...

Co za rozkosz oddychać teraz innym, niż zatrutym powietrzem Kalkuty i Benares! Otacza mnie i upaja wegetacya raju ziemskiego. Ożywia płuca, czaruje oczy, najzwyczajniejsze zapachy nabierają tu nadzwyczajnej siły i wdzięku. Katalpasy w kwiecie, łączące się nad naszymi głowami, tworzą aromatyczne sklepienie, chronią nas bambusy i olbrzymie euforby. Wznosimy się coraz wyżej. Wiewiórki skaczą z drzewa na drzewo, rozkładając swe kiściaste ogonki. Małpy śmiejąc się skaczą. Zmienia się krajobraz i ludzie. Ze skał wydziela się jakiś majestat, pokazuje się rasa silniejsza, o udach muskularnych, tak niepodobnych do szczapek mego bengali. Twarz również jest szlachetniejsza, te istoty nie są już tak przedajne i chciwe, nie znają kłamstwa. Wspaniałe otoczenie podniosło typ. Natura lubi przeglądać się w ludziach; górale Indyj są piękniejsi od górali Alp, ale nędza i przesady, piętnują ich dotąd jeszcze. „Coolies“

zapełniają drogę, uginają się pod ciężarami, gdyż europejczycy przenosząc się z miejsca na miejsce używają do tego grzbietów, ludzkich; to tak nie wiele kosztuje — tak przenoszą swe meble, a nawet wazony z kwiatami.

Sławny włościanin z La Brugère, opisany z taką okrutną barwnością, jest panem w porównaniu z tym „coolie“. Pomimo zimna, zaledwie odziany, piękny jak bóstwo greckie, ugina się pod olbrzymim ładunkiem drzewa węgla, beczek. Idzie tak mile całe, nie widząc nic prócz ziemi, z głową na jednym poziomie z brzuchem, podobny do tych mrówek, ciągnących dziesięć razy większe od siebie ciężary. Przechodzić będę mimo nich nieustannie w Himalajach; wzrusza mnie ten lud pokorny, nie protestujący nigdy, bardziej interesujący niż lud równin, gdyż bardziej do nieba zbliżony, więcej ludzkim się wydaje:

Przyjeżdżamy do Kathgodam. Czuję głód. Wysiadam z tongi. Wchodzę do miłego zajazdu, utrzymywanego przez parę małżonków, spotykanych często w romansach Dickensa. Stary jest dymisjonowanym podoficerem, szanującym regulamin, a kobieta tęga gospodyni

przygotowuje doskonale potrawy, mając z jednej strony przyswojonego kruką, z drugiej, butelkę whisky. Jest uosobieniem zdrowia i pijaństwa, co tutaj często idzie w parze i nie wiadomo czy jej zaokrąglone policzki są wynikiem zdrowego powietrza, czy też obficie używanego alkoholu. Zajazd jej znajduje się w domku parterowym czystym, kokieteryjnym; tam zatrzymało się kilka dumnych angielskich, obdarzonych przez naturę brzydota i brakiem wdzięku. Szklanemi oczyma patrzą, nie widząc, na ten wspaniały krajobraz, tworzący olbrzymi bukiet wyrosły ze skały, nad którymi krążą orły i sępy.

Stąd pojedę konno do Naini Tal, tej osady rozrzuconej w koło jeziora, w cieniu niedostępnych szczytów.

---

### *Naini Tal (jezioro Miłości i Śmierci).*

Nie zapomnę nigdy tego dziwnego wrażenia, tego rozkosznego zdziwienia, jakiego doznałem, gdym przybył do Naini Tal, do spokojnego zakątka tej roześmianej doliny, wyłobionej w pośród najstromszych gór świata, mają-



cych ośm tysięcy metrów wysokości. To świeże, czyste jezioro, kryjące niezbadane przestrzenie pod dwudziestu dwiema stopami głębokości, otoczone wierzbami jakie tylko Indye stworzyć mogą, delikatnego odcienia, wątych linii, pełne tego mistycznego czaru trzymanego w ukryciu, w tym kraju rozkosznym i silnym... Niema tu nic z tych dekoracyj operetkowych psujących nieustannie Szwajcaryę, nie sztucznego, małostkowego. W tej wodzie kryształowej zamieszkuje bóstwo, bóstwo to znaczy siła dzika, czująca, którą wdycha się jak aromat. Co mówię! bóstwo, tam są dwie boginie!

Rzeczywiście na piasku wznoszą się dwie świątynki, poświęcone dwóm siostróm, panującym nad jeziorem: Naina Dewi i Nanda Dewi; na północ od Tal, po przeciwnej stronie znajduje się duży, pusty plac, gdzie załoga angielska rozłożyła się ze swą grą w polo... Zawsze, tam jak i wszędzie, widzimy przeciwieństwo dwóch istnień, nie zlewających się z sobą nigdy, życia angielskiego i życia krajowego, gwałtownych ruchów i marzeń... Jest to jakby ugoda władców i zwyciężonych, ży-

jących obok siebie, pogardzając sobą w głębi serca.

Koń mój idzie brzegiem tej cudnej wody, niepokojącej mnie jak zwierciadło, w którym - by się długo przeglądały upiory; ze wszystkich stron dumne gmachy europejskie zapełniają wyżyny, szkoły, kościoły, świątynie, wille, zamki... Hotele jeszcze są zamknięte; tem lepiej; czystszym będzie krajobraz.

Mijam dwie „dundeas“, tak nazwane są wygodne nosze, na których leżą podróżni. Na jednych uśmiecha się młoda kobieta, irlandka zapewne, z cerą róży Północy, z włosami jasnymi jak u czarodziejek; przy niej w drugiej „dundee“ wspiera się Anglik zbyt długi, blady, widocznie trapiiony febrami; przybył leczyć się w góry.

Ramiona „coolies“ unoszą ich, zbliżają ku sobie; zdają się być w jednym łożu, połączeni tą samą myślą, tą samą miłością... RzUCA się to w oczy tak wyraźnie jak jasnym jest niebezpieczny urok tej wody, drżenie wierzb, lub dumny wdzięk wzgórz, pokrytych dębami i białymi pałacami. Jeżeli się nie żenują, to dla tego, że sezon jeszcze nie rozpoczęty; oni prawie jedni są z to-

warzystwa, a ja nie liczę się, ponieważ nie jestem Anglikiem. I nie wiem, dla czego w pierwszym mem wrażeniu, kojarzę tę parę miłosną z tem jeziorem zwodniczem i cudnem...

To są jedyni prawie, osiedli podróżnicy, przybyli przed sezonem, aby mieć zapewne większą swobodę w Naini Tal. Znajduję otwarty tylko „Hotel M.“ wznoszący się po nad jeziorem. Przyjmuje mnie gospodarz, porządny, usłużny człowiek, dyrygujący oddziałem indusów zajętych budowaniem skrzydła w jego hotelu. Przeprasza za nieporządki, tłumaczy że dom jeszcze nie skończony, ma u siebie tylko dwóch gości; łatwo domyślam się, że właśnie para, którą spotkałem, tutaj zamieszkuje. Rozmawiamy o nich, gdy mój gospodarz pokazuje pokój dla mnie przeznaczony, czysty, jasny, z boazerją na suficie, o meblach zawieszonych, aby uniknąć zapewne owadów i gadów...

— Nie są rozsądni—mówi on o parze kochanków; — przyznali mi się, że żadne z nich pływać nie umie, a prócz rannej przejażdżki w „dundee“ całe popołudnie pływają po jeziorze, czasami nawet i wieczór tam spędzają... Cóż pan chcesz? taką jest natura Anglików;

bądź co bądź ruch mieć muszą. Ten, chociaż tak chory, że doktor zabronił mu jeździć konno, musi wiosłować, wiosłować...

— To rzeczywiście musi być bardzo przyjemnie chronić się w pieczarach Tal, kochając się tak czule.

— Przyjemnie, tak, zapewne; ale co roku mamy wypadki, wypadki dramatyczne... pomimo to inni rozpoczynają to samo...

Słowa małego człowieka wpadały mi do uszu, jak kamyki na dno studni. Słuchałem go z roztargnieniem. Rozian rozkładał na stole moje notatki, a w ubieralni murzyn nalewał wodę do dzbanów.

Czyż przeczuwałem wówczas już, że Naini Tal, będzie najpotężniejszym wspomnieniem tej oślepiającej podróży.

---

### *Narzekania właściciela hotelu.*

Raniutko schodzę do uprzejmego „proprietor“ od piątej rano czytającego książki naukowe i pisma, pilnującego jednocześnie robotników.

— Jeżeli chcesz pan poznać dobrze Naini Tal—mówi, weź pan z sobą bra-

mina Rharamb; on zna krajowców i opowie ci cudne legendy kraju tego.

Przyjmuję propozycję, patrząc przez okno na krajowców, piłujących belki. Kobiety pracują również, oczyszczają grunt, przynoszą lub odnoszą, na swych włosach, kamienie jedno na drugich ułożone. Chwilami zatrzymują się, by bawić się jak kozy, popychają się głowami, przewracają ze śmiechem... Zda się, że się widzi jakąś pasterską idyllę z Mahabaraty.

Anglik zwierza mi się ze swemi kłopotami; zrezygnowany, nie traci odwagi. Te dusze mieszkańców wyspy tak różne od naszych, głębokie, wytrwałe, naiwne i interesowane zarazem, poświęcające się chętnie dla zbiorowego ideału, dla dobrobytu rodziny, dla wielkości rasy. Co raz trudniej rozumiemy ich, my, zawzięci indywidualiści, których wszystko dzieli. Patrzą w oczy tego łagodnego, spokojnego, typowego mieszczanina, na jego wąsy siwiejące. Postarzał zdala od Anglii, dla niego najpiękniejszego kraju na świecie, i może umrze przy pracy, w tych górach, których piękności wcale nie odczuwa, a które są dla niego ciężkiem wygnaniem. Wszystko jedno! on musi uczy-

nić swoich bogatymi i szczęśliwymi. Dla tego celu cały się poświęca.

Trzeba walczyć ze złą wolą krajowców, z ich przewrotnością. Zima ciężka. Gdy przyjeżdża, śniegi gromadzą się, góra drży, hotel chwieje się na ruchomych skałach, dzikie bestye schodzą z wyżyn. Dobra pora roku trwa bardzo krótko. Trzeba bardzo drogo opłacać kucharza francuza, a goście domagają się go koniecznie..

— O!—ciągnął dalej—nie zabawisz się pan bardzo w tym miesiącu, trzeba, żeby towarzystwo się zjechało, a wtedy kraj staje się wesołym..

Ludziom podoba się bardzo w Naini Tal w czasie sezonu, mężczyźni, kobiety bawią się... rozumie się, jak mogą... Grają w tenisa, robią wycieczki w góry, a szczególnie pływają po jeziorze... Na nieszczęście, my anglicy jesteśmy bardzo nieuważni... te przesłiczne spacerki kończą się zbyt często tragicznie.

Ta ponura zwrotka o niebezpiecznym jeziorze, powraca wciąż na jego usta.

— Jakże się bawią oficerowie garnizonu przez rok cały?

Mały człowieczek uśmiecha się:

— O! anglicy mają inne niż francuzi upodobania; aby tylko mieli ruch dla rąk i nóg, to już są zadowoleni. Przewszystkiem jedzą dużo—trzy, czy cztery razy na dzień—później konno jeżdżą, ćwiczą się w grach rozmaitych. I tak przechodzi życie w zdrowiu, bez trosk, w klimacie, który jest zresztą najlepszym w całych Indjach.

— A panu życie pańskie podoba się?

Na małego człowieka napadła chwila szczerości, tem zupełniejszej u anglików, im rzadziej się u nich trafia. Otóż już blisko trzydzieści lat daje mieszkanie innym, w tym zapadłym kątku Himalajów, blisko trzydzieści lat nie widział „City,” nie oddychał gorączką ulic, mgłą, tęskni za odorem podziemnych kolei żelaznych. Poświęcił się, by wychować na panów swe zbyt liczne dzieci, by dać rozrywkę żonie, która nudziła się tu, bez teatrów i zabaw; tamci są rozproszeni prawie po całej kuli ziemskiej; ona stale zamieszkuje Londyn, skąd wraca do Naini Tal tylko co trzy lata, by spędzić tu lato.

— Jeden z moich synów jednak zdecydował się przybyć do Indyj. Miał miejsce w Kalkucie, liczyłem na niego, że się zgodzi mi pomagać, gdyż sta-

rzeję się już i cierpię nad mą samotnością, ale właśnie pisze mi, że idzie bić się w Transwaalu... A gdym zrobił uwagę, że tam bez niego obejść się mogą, a tu obecność jego jest niezbędną—odparł:

— Ojczy! twój fach hotelarza nie podobą mi się, wolę życie awanturnicze!

Posłałem mu wówczas pieniądze i powiedziałem:

— Idź!

Strailem ostatnią nadzieję.

Ten dzielny człowiek, wzruszył mnie. Nie oburza się na swoich, nie narzeka na los, zachowuje swą cierpliwość anglo-saksońską. A takich anglików tyśiącami spotyka się w Indyach, nie są oni, tak jak to bywa w naszych koloniach, wyrzutkami społeczeństwa, lecz przeciwnie, są jego rdzeniem, złożonem w całopalnej ofierze dla dobra żon i dzieci...

— Wy francuzi—dodał on—lepiej rozumiecie szczęście, macie mało dzieci i trzymacie je jak można najdłużej przy sobie z żoną, dzielącą los wasz... Życie krótkiem jest i umiecie z niego korzystać...



## *Dwie djablice.*

Schodzę do świątyniek dwóch bogiń, na brzegu Tal, z braminem Bharamb. Ponieważ nawet w Indyach nie można wyżyć z nauczania, ten indus wyższej kasty zdecydował się być prostym „babu“.

Prowadzi rachunki inżyniera. Zamknięty był w sobie aż do chwili, gdy mu wyśpiewałem stłumionym głosem ustęp sanskrycki z upanisadów, opiewający brajaszywę. Wówczas wygładziły się jego pomarszczone policzki, zagasłe oko błysnęło, ogarnia go młodość, religijna dusza jego kraju nową krew w żyły wsączać się zdaje.

W drodze opowiada mi legendę o dwóch boginiach, do kapliczek których właśnie idziemy. Te są dwie tajemnicze dziewice: Naina Dewi i Nanda Dewi, panujące nad doliną. Jeszcze przed pięćdziesięciu laty składano im krwawe ofiary z ludzi.

— Teraz — powiedział Bharamb — muszą się zadawać krwią kozłat, płynącą z pod topora kapłanów. To są jedyne ofiary, jakie anglicy pozwalają składać, ale my wtajemniczeni —

wiemy, że one nie zadawałają się tak marnemi ofiarami. Muszą otrzymać to, co im się należy i jezioro dostarcza im hojnie tego, czego im odmawiają.

Bałem się zrozumieć... nalegałem jednak:

— Jakto?

— Jak? Ależ przez te wypadki, wciąż się powtarzające na Tal. Anglicy jeżdżą łódkami zapamiętałe i często taka łódź zostaje pochłonięta. Jeżeli jednego roku jezioro nie chwyciło żadnej ofiary, to w roku przyszłym, liczba ich jest podwójną...

Zbliżamy się do wody cudnej, świeżej, czystej, niepokojącej jak zwierciadło, w którym niejedno widmo się przeglądało. Gdzieniegdzie pozostało trochę mgły jeszcze, jakby woal porzucony przez spiesznie uchodzącą kurtyzaną — noc. Ta toń zwodnicza, niebezpieczna, przybierała wyraz niewinności zielonej i niebieskiej źrenicy dziewiczey, a obramowanie z wierzb, delikatnością swą przypominało rzęsy. Oko wielkie otwarte, oko szlachetne, takby się zdawało, gdzie spoczywały jednak dzikie zamiary...

Dzięki Bharambi, mogłem przeni-

knąć do miejsca, przeznaczonego na kult bogiń siostrzanych.

Złożył pocałunek na drzwiach, zanim je otworzył.

Kapłani spali na piasku: zmogło ich lenistwo, marzyli o absolicie i o pieniądzech; młodzi żebracy posypani popiołem, patrzyli na nas jak posągi w muzeach. Nagle podniosła się kobieta, straszna, z rozciętą aż po pas tuniką. Głowa jej, jak głowa mężczyzny, owiniętą była brudnym, spłowiałym turbanem, z pod którego wymykały się nieokreślonego koloru kosmyki. Zdaleka wziąłem je za sznurki. Stara do mnie, cudzoziemca, zwróciła swe przekleństwa. Oczy jej błyszczały sztucznym blaskiem, jak iskierki krótkie, skrzące się na wodzie. Odwróciłem wzrok, jak od hypnotycznych sideł. Te niezdrowe błyski ból sprawiały, zdradzały organizm wściekłością i histeryą zjadany.

— To święta z Naini-Tal—rzekł Bharamb z szacunkiem — ona widzi bóstwa, przepowiada.

A gdy nie mogłem ukryć wstrętu, dodał poważnie:

— Ani jedno próżne słowo nie wyzło z jej ust!

...Zbliżyłem się do dwóch posążków. Miniaturowe pagody otwarte były, więc widać było Naini Dewi i Nanda Dewi, małe, czarne, z olbrzymiami czerwonymi, błędnymi oczyma potworów. Lalki czary rzucające pokryte były złotem i drogiemi kamieniami! Dziwaczne ex-wota ozdabiały ściany: futra zwierząt himalajskich, pióra pawie, muszle z jeziora, malutkie dzwoneczki do wypędzania upiorów. Te barwy ponure i bogate, te pigmee samice, wiecznie są głodne. Na stopniach ołtarza, walają się owoce kokosowego drzewa. Dla ich dyabelskich nozdrzy pali się kamfora, a rozrzucone płatki rododendronów nasuwają myśl o kroplach krwi ludzkiej, którą tu rozlewano.

— Te ofiary to tylko deser—szepcze Bharamb. Pożywieniem ich jest krew prawdziwa, ciało dymiące... lub blada twarz topielców.

Siadam na piasku, na brzegu, jak ci ospali kapłani. Chwilami ręka moja zsuwa się aż do jeziora spokojnego.

Biedna góralka weszła nieśmiało za ogrodzenie, niosąc w swych pokornych ramionach, o woskowych bransoletach—koźlątko.

Bharamb objaśnił mnie.

— To jedna z wiernych przyszła błagać boginie.

Jeden z drzemiących na piasku kapłanów podniósł siekierę i podszedł do jeziora. Wzniosłszy ją w górę, tak, że ostrze zabłysło w promieniu słońca, zanurzył ją przy brzegu, padając na ziemię.

Zręczne czarne stworzonko stało na ziemi nieruchome, węsząc świeże powietrze, zwracając pyszczek to tu, to tam, zdziwione.

Schwycił szybko koźlątko wyrwywające się, i zwrócił się do błyszczących czarnych lalek. Jeden cios. Łeb potoczył się aż do pagód. Małe kosmate ciało padło. Z arteryi szyi buchnął podwójny potok krwi; i — rzecz straszna! — koźle bez głowy powstało, zachwiało się, chciało iść, trzy razy się wykręciło, z drgającym, pośmiertnym spazmem. Kapłan chwycił je ponownie, odciął ogon i tylne uda, które złożył przed Naina Dewi i Nanda Dewi. Wówczas waryatka w turbanie, rzuciła się do kałuży krwi, wsiąkającej już w piasek, zanurzyła swe ręce i obtarła niemi twarz pomarszczoną i ciemną, którą podniosła ku mnie okropną, ociekającą czerwonymi kro-

plami. Tańczyć poczęła na chudych nagich nogach. Śpiewała — upojona krwią, opętana, niby Sybila natchniona oddechem dwóch dyablic — powiewem śmierci!

Schwyciłem się tuniki bramina; nerwy moje cierpiały, zetknąwszy się z tym szalem:

— Co ona mówi?

Bharamb odpowiedział:

Wygłasza wolę Naina Dewi i Nanda Dewi.

Krew koźlęcia nie wystarcza. Każda z bogiń domaga się ofiary z ludzi.

Jak w zmorze jakiejś, waryatka zbliżała się do mnie coraz więcej — wyjąc:

— Co ona mówi? — powtórzyłem.

Bharamb milczał zakłopotany.

— Mów — krzyknąłem brutalnie — rozkazuję ci!

Indus wyznał nareszcie.

— Mówi, że bogini domaga się ofiary z białych jak ty.

\* \* \*

Krażę koło jeziora słodkiego i zwo-  
dniczego, przy zapadającym dniu, z po-  
targanemi nerwami, jak gdybym pił

jedną z tutejszych trucizn. Przy nierównościach gruntu, niespokojną ręką wstrzymuję konia. Zdaje mi się, że padnę pomiędzy te olbrzymie dęby, runę—pchnięty jakąś niewidzialną ręką w to wielkie oko dziewicze z wierzbami rzesami, w to jezioro pociągające.

Różowe i fioletowe kwiaty rododendronów, opadają na biały jedwab mego ubrania. Gdy patrzę na nie, wydaje mi się, że popłynęła na nie krew moja własna. W uszach huczą mi jeszcze przekleństwa ohydnej kapłanki. Bharamb idzie za mną, podskakując na małych nogach, odmłodzony ceremoniami swej religii i rasy.

— Sâb — mówi — nie lękaj się...

A gdy robię ruch zniecierpliwienia, rozumiejąc, że ten człowiek odgadł, iż lękam się:

— Przebacz Sâb — dodaje — że tak otwarcie mówię z tobą. Nie chcę, byś się niepokoił przepowiednią. Znasz werset króla Sziwy, chroniący od wszystkich czarów. Nie umrzesz tutaj.

Słowa te jednak, zamiast uspokoić, podniecają mnie jeszcze. Któż więc umrze? Prócz mnie, na łaskę jeziora zdana jest tylko para anglików, spot-

kana w pierwszej chwili przybycia do Naini-Tal. Lubią spędzać całe wieczory na tej pociągającej wodzie...

Właśnie spostrzegam ich; on przywiązał do jednej wierzby łódź wytworną, wąską, w której każdy gwałtowny ruch grozi niebezpieczeństwem. Ona patrzy na niego wzrokiem kochającej kobiety. Złote jej włosy nie przykryte niczem. Zawiesiła kapelusz z kwiatów spleciony na wiośle. On zwraca się ku niej, otacza ją wychudłemi od gorączki ramionami. Stara idylla, wiecznie świeża...

Ręką uderzam konia, by puścił się galopem. Za sobą słyszę okropny śmiech Bharamba.

---

### *Noc indyjska.*

Pobył w Naini Tal wydaje mi się dziś snem. Przeżyłem w Himalajach, godziny przestachu, i ujrzałem jednego z tych ludzi tajemniczych, zdających się uosabiać fantastyczne legendy. Byłże to mistyfikator, czy rzeczywiście istota ludzka, obdarzona siłą szatańską? Ukazał mi się jak jakaś



żywa zagadka, zaprzeczenie naszej skromnej wiedzy, naszym pojęciom o życiu. Dusza moja zachowała jeszcze wspomnienie pogroźek waryatki w turbanie, gdy zdrzemnąłem się w hotelu. Zbudziłem się nagle, koło drugiej w nocy. Nie mogłem wytrzymać w łóżku. Wyszedłem na drewniany taras.

Nigdy, ani w Syrii, ani w Egipcie nie widziałem tak czarodziejskiej nocy. Słowa nie zdołają opisać tych czarów. Srebrzy się powierzchnia jeziora, księżyc odcina się na przeczyszczeniu niebie tak wyraźnie, jakby był z metalu wykrojonym. Wszystko tak czyste, tak słodkie! Nie chce mi się wierzyć, by przy tem ślicznem jeziorze istniały te potwory kamienne. Nanda Dewi i Naina Dewi, którym potrzebna jest krew zarzynanych kozłat i ostatnie tchnienie tonących. Przenika mnie odżywczy wietrzyk, płynący z wiecznych śniegów — złagodzony w dolinie. Jakieś światło, nie dające się określić, roztopione, wisi w powietrzu, subtelne jak pyłek gwiazdzisty. Nie słyszę już tych strasznych, lub drwiących wrzasków — nocne ptaki i szakale—które mi psuły wspaniałe

wieczory w Benares. Czasami tylko ozwie się jakiś śpiew, tak delikatną nutą, iż nie jesteś pewnym, czy ona wypłynęła z gardziółka ptaka, czy z zetknięcia się dwóch kwiatów. Tak, zdawało by się, że to księżyc śpiewa!

Stąпам delikatnie po lekkim tarasie, nie chcąc męcić tego spokoju, zaledwie słyszalnym stąpnięciem nagiej mej stopy. Ani jednego dymu nad wioską w śnie pogrążoną. Jakiś klejnot błyszczy na jeziorze,—musi to być łódka irlandki i chorego anglika, którzy zapomnieli o świecie całym.

Mignęła mi ona tylko, gdyż drzewo, jeden z tych dębów indyjskich, wykoronkowanych jak ostrokrzew, skrył ich widok.

Nagle, straszny krzyk przecina powietrze. Coś wpadło w wodę; dochodzi do mnie odgłos jakby szamotania się olbrzymiego zranionego ptaka, walczącego ze śmiercią. Serce mi zamiera. Rzucam się na schody mego tarasu. Jestem na trzecim piętrze. Schody zamknięte przez ostrożność przed złodziejami. Chcę krzyczeć, wołać, ale właściciel hotelu śpi bardzo daleko stąd, w oddzielnej sali hotelo-

wej—hotel pusty, gdyż para jest tam na jeziorze...

Jestem odosobniony, niezdolny do żadnego wysiłku. Czuję dreszcz śmierci. Jestem pewny, że zdarzył się straszny wypadek, że nieostrożna para kochanków wpadła do wody zwoźniczej. Bóstwa jeziora, nieubłagane i fałszywe, zaspokoily swą złość. Coś nienawistnego, fałszywego, jak błysk w oczach dzikich bestyj, przesunęło się po tym cudnym krajobrazie.

Rozian, mój „boy“ śpi ciągle, owinięty w podróżne kołdry; tworzy on ciemną masę w końcu tarasu. Patrzę na tę obojętność jego. I z tej uśpioonej istoty płynie ku mnie wschodnie obezwładnienie, namawiające na pozostawienie wszystkiego własnemu losowi.

Cisza—tym razem cisza śmiertelna—panuje wszechwładnie. Patrzę na szczyt „China“ wznoszący się nad Naimi—Tel. Olbrzymia skała zachowuje dziki wygląd ze swą ciemną plamą drzew, tu i tam ubieloną śniegiem. Zwierzenie Bharamba, mego bramina, odnawia mój zgorączkowany umysł! Tam podobno rezyduje Mahatma, bóstwo człowiek, podobno ma dar ukazy-

wania się i znikania; żyje od wieków, wiecznie młody, rozmyśla przy ognisku, które słowa jego rozpalają, wobec szczytów osiem tysięcy metrowych, chroniących nieprzenikniony Tybet. Mam przebyć tę górę jutro, w towarzystwie inżyniera z Naimi Tal, który tu zbudował rezerwoary hydrauliczne, zasilające wodą kraj i najdalsze wille na wzgórzach.

Jest że to gra światła księżycowego? Halucynacya mych bezsennych oczu? trochę męczącej mnie już gorączki? Zdaje mi się, że widzę na szczycie ruchomy ogień.

Tak szczyt „China“ daje sygnał nocny. Ale dla kogo i po co? Wówczas przypominam sobie, co mi mówił poważnie Bharamb. Czasami płomyk, wskazujący tajemne schronienie Mahatmy, widzialnym jest z Naimi Tal. A dla tego, kto go zobaczy, zawsze to jest znakiem szczęścia.

---

### *Mahatma.*

Razem z inżynierem i „boyami“ przebywamy nazajutrz rano, konno, tajemniczy cypel. Mój śmiały towarzysz

jest młody, gadatliwy, obojętny zupełnie na piękności tego krajobrazu, podziwia tylko swoje rury. Góra cała jest niemi poorana, a niosą one o tysiące mil wodę czystą, zbierającą się w sztuczne zbiorniki. Chociaż słońce złoci już stoki, na których kupią się jodły i dęby, gdzie wybuchają w całym rozkwicie rododendrony, zimno staje się coraz dotkliwsze. Pozostawiamy niżej plantacye kawy i herbaty, płacziwe listki eukaliptusów.

— Śnieg! — woła inżynier.

I pokazuje mi z radością dziecka, na widok nieoczekiwanej zabawki — śnieg gromadzący się w szczelinach. Kopyta końskie osuwają się po oślizgłej ziemi. Proponuję zsiąść, ale ci anglicy to waryaci, kochają się w nadzwyczajnościach, szukają wypadków, jak jakiejś przyjemności. Upiera się. Konie lękają się, nogi ich toną w białym puchu, zaczynają się buntować.

Nareszcie tracą zupełnie grunt pod nogami, aż po brzuch zapadają. Rzucają się, podnoszą i znów padają. Staczamy się na krzaki, które szczęściem zatrzymały nas przed otworem przepaści. Konie zemknęły, „boye“ rzucili się za nimi. Pozostajemy sa-

mi, inżynier i ja. Anglik wybucha krótkim śmiechem.

— To prawdziwa awantura!

Powiedział to jowialnym tonem, z błyskiem zadowolenia w szarych źrenicach. Idziemy kilka godzin, ścieżkami barbarzyńskimi, on śmiejąc się, a ja sapiąc. Czasami spostrzegamy siedzące na olbrzymich kamieniach drapieżne ptaki, nie raczące nawet poruszyć się z miejsc; skrzydła ich brunatne, lub brudno żółte, wiszą jak strzępy chorągwi; kilka łysych sępów, z oškubanemi szyjami zanurzonemi w płaszcach z piór, zdają się być schadzka złych kapłanów.

Jakby wyspa w przestrzeni, krąży w słońcu skał. Stok góry pustoszeje, przybywamy na szczyt China. Anglik dobrze zrobił, zmuszając mnie do tej pieszej wędrowki. Z tej nagiej skały, patrzę na taki widok, jakiego z pewnością więcej nie ujrzę.

Góry, góry do nieskończoności, góry ginące w niebie. Tak olbrzymie, nieruchome; a w przerwach między niemi cała poezya szczęśliwego życia, drgnienia ciemnej zieleni, ogrody zaczarowane, różnobarwne, jak dywany perskie. Drogi i rzeki są tylko ozdo-

bami, stworzonymi przez kapryśnego artystę; forty wznoszą się jak inne cyple, przez ludzi zbudowane; miasta wyrastają na skałach jak różowe muszle... W dali mur,—najeżone groźnie łona, których głowy Niebo pożera!... O! te olbrzymie Himalaje wiecznie chmurami przykryte! Powiedziałybyś—zazdrośni stróże, pragnący skryć przed oczami stworzeń wyżyny, które nawet imaginacya przeniknąć nie ośmiela się... Himalaje, wyjaśnijcie mi te tajemnicę geniuszu, będącego również rzeczą zbyt wysoką, aby nie być ukrytą.

Inżynier odwraca się od tego widoku. Wyjął ze swego worka lunetę i patrzy w stronę Naini-Tal, chcąc dojrzeć swe zbiorniki i swą hutę... Następnie improwizuje na gołej ziemi obiad. Mało jem, doznaję migreny, zawrotu. Towarzysz mój zjada prawie wszystko, poczem na pustym worku opiera głowę i drzemie. Postępuję kilka kroków dalej prawie pijany tym bezmiałem. Coś, czemu się oprzeć nie mogę, ciągnie mnie na brzeg tej skały, rysującej się w kształcie konchy. Obchodzę w około i zatrzymuję się zdumiony. Jakiś człowiek jest tam,

skulony na skórze tygryskiej, cały nagi, o skórze brunatnej, o włosach obfitych, błyszczącego czarnego koloru, właściwego azyatom. Oczy jego tak są wielkie, jak olbrzymie oczy bogów indyjskich. Gruba jego warga, o delikatnym rysunku, uśmiecha się. Nie dziwi go mój widok. Kiwa się w powolnym rytmie. Przed nim, wbity w skałę, trójząb Sziwy, na którym krwawi się girlanda rododendronu. Ogień suchych gałęzi gaśnie pod popiołami. Kłka owoców leży obok, a młoda sarenka, rozszerza swe chrapki tuż u jego boku.

Czyż by to był Mahatma, o którym mi mówił Bharamb? Daje mi znak, bym usiadł koło niego.

Od Konstantynopola nauczyłem się siadać na sposób wchodni. Za tem wzniesieniem skały, kryjącej mi Naini-Tal i resztę Indyj, mając przed sobą cały bezmiar Himalajów, czuję się z tym człowiekiem sam na świecie.

Umie po angielsku! Pytam, kim jest. Znów się uśmiecha, kiwając się wciąż tym rytmem słodkim, hipnotyzującym.

— Chciałeś mnie spotkać?— rzekł—



dzisiejszej nocy, ogień mój błyszczał od strony Naini-Tal.

— Znasz mnie więc?

— Znam wszystko.

Oczy mu się zamykają i pali mnie jego spojrzenie, z pod długich rzęs.

— Kim jestem? czytałeś w waszych księgach o Elim? Wola jego zapala ogień na ołtarzach; jest niespożytym. Nie umiera. Uniesiony w wozie ognistym pozostanie na wieczne czasy. Jest dużo innych Eli. Jestem jednym z tych. Żyję od wieków. Znałem Ramę i Chrysnę. Jak widzisz nie noszę odzieży. Chodzę po szczytach tych gór, nie odczuwam zimna ni bólu. Przypominam sobie, że przed wiekami byłem raz chory; chciałem znów wrócić pomiędzy ludzi. Kochałem ich. Teraz nieznam ani nienawiści, ani miłości.

Pogładził sarenkę, którą obecność moja przeraziła trochę, gdyż oparła o niego drżący pyszczek.

— Jakto — rzekłem — ty, indus, nie dbasz o własną ojczyznę — cierpiącą i ginącą?

Nie znikł uśmiech z warg, skrzywionych wzgardą dla wszystkiego.

— Dobro płynie ze zła, zło płynie z dobra. Wszelki czyn jest bezuży-

teczny. Wszelka miłość — niewolą. Niewzruszone prawo kieruje wszystkim. Tylko niezbadana istota, w której jestem zagłębiony — jest wieczna, niezmienna... Cały świat zmianom ulegający, jest złudzeniem... Teraz Zachód jest naszym panem ale tryumf jego będzie mniej pięknym i krótszym.. Światło jego zgaśnie, by nasze rozbłysło ponownie.

Wziął pręt żelazny, poruszył ostatnie główne—wygasły zupełnie. Uczułem litość dla tego samotnego i nagiego żebraka.

— Czy chcesz, hym rozpałił gałęzie?

Uśmiech pogardliwy wydłużył kąty ust. Pręt żelazny zebrał w kupkę czarne kawałki drzewa.

— Dmuchnij—zapropnował mi.

Dmuchałem, węgle pozostały martwemi, ani jednej isierki. Ogień zupełnie wygasł.

Wówczas pochylił się i wypowiedział kilka wyrazów sanskryckich. Węgle się zatliły. Słowa jego stworzyły płomień.

— Ogień mi jest posłuszny—rzekł.

Dziwny niepokój mną ogarnął. Szarpały mną: zdziwienie, niewiara, zwąt-

pienie. Jest-że to waryat, szarlatan, czarodziej?

— Czy jesteś szczęśliwy?—spytałem cicho.

Nie dający się określić błysk, zapalił olbrzymie źrenice. Gęsty dym podniósł się z kupy gałęzi.

— I am dark — rzekł (jestem ponury).

Mówił o ciele, czy o duszy? Wziął owoc i podał mi go.

— Indye będą ci słodkie—powiedział—nie lękaj się niczego. Nawet chory, nie umrzesz.

Wzniósł rękę, by mnie pobłogosławić, następnie odprawił mnie giestem.

Usunąłem się, nogi mi drżały. Znów skrył go załom góry. Podszedłem do inżyniera. Drzemał jeszcze. Wróciłem nazad. Coś niezwalzonego ciągnęło mnie do pustelnika.

Zaledwie minuta upłynęła od mego odejścia... Nie było go już...

Rozglądałem się na wszystkie strony. Przedemną — przepaść, otchłań. Za mną—pustka. W jaki sposób mógł uciec? Nie było żadnej drogi, którą by oczy moje nie mogły zbadać. Przecież skała nie mogła się otworzyć. Czyż ten Mahatma był rzeczywiście

obdarzony darem niewidzialności, jak mi to opowiadał poważnie Bharamb? A może śniłem na jawie? Nie, popiół leżał, tym razem zupełnie wygasły, na trójzębie krwawiła się wciąż girlanda rododendronów, a sarenka ułaskawiona zajęła miejsce nieobecnego. Wyciągnęła swe wątle nóżki na skórze tygrysiej i zamykając oczy, usypiała..

### *Z lampartami.*

Usłyszałem wołanie; wróciłem do inżyniera, który już wstał, snem porzeczony; Uśmiechał się, „boye“ oczekiwali z końmi; niemało się po górach za nimi nabiegali.

Inżynier zaproponował, byśmy zeszli inną, znaną mu drogą, prowadzącą prosto do Naini-Tal. Tak byłem zdumiony widokiem Mahatmy, tak zahypnotyzowany jego poważnemi słowy, odkrywającemi zasłony po zasłonie nad drzemiącemi dla mnie widnokrzegami, tak zdekongertowany jego sposobem zapalania ognia i znikania, że zgodziłem się na ten nowy wysiłek, przechodzący siły moje. Oderwałem się od wspaniałego widoku lodowców,

i poszedłem za anglikiem, idącym zasnieżoną pochyłością, gdzie różne niebezpieczeństwa czychały na nas. Dopół ciała zapadałem w białe sidła, to znów potykałem się na zmarzłym gruncie; musiałem chwycić się korzeni, aby nie runąć w przepaść. Anglik bawi się wybornie i pokazuje mi na śnieżnym kobiercu ślady łap dziwnych, lekkich.

— Lamparty! — mówi.

Zdawało mi się że żartuje, ale usłyszałem w pobliżu chrzęst gałęzi, spojrziałem po za siebie, stanąłem zdziwiony.

Może o dziesięć metrów stoi bestya i przygląda nam się okiem ruchliwym, niespokojnym, pięknym jak oko powiększone kota, którego-by nie zmącił pospolity widok naszych domów, a fosforescencya czerpaną była wprost ze słońca i z krwi pożeranych ofiar.

Przyznaję, że zachwyty większym był, niż przestraszony. Wyjąłem jednak rewolwer; był zamknięty. Rozumie się, że byłby bronią niewystarczającą, gdyż inne lamparty snuły się wzdłuż drogi, ostrożne i zajęte, wracające zapewne z jakiejś owocnej wyprawy.

Rozmaite ubarwienie ich szaty harmonizowało z tą naturą dumną; były one jak dzikim żyjącym owocem lasu, centkowaną rdzą aksamitnej kory, obdarzonej zdolnością chodzenia.

Czułem lepiej Himalaje w obec tych milczących wędrowców; Mahatma wyjaśnił mi szczyty, lamparty dawały poznać lasy. Szły i szły w jednej linii, posłuszne przywódcy gromady, który usunął nam się z drogi, a czasami sunęły w podskokach, w swych szatach drogocennych, zręczne i straszne, pomimo małych rozmiarów, emblemata siły, okrucieństwa i zgubnej piękności. Dumny trochę byłem, że spotkawszy te dzikie bestye, uszanowały mnie one. Byłem człowiekiem, którego inteligencya więcej znaczy, niż pazury i zęby. Odzyskałem energię w tej gwałtownej wędrowce, wzdłuż czekających na ofiary przepaści, prowadzony przez angiłka wprost do Naini-Tal. Na dole jak jedwabna szmata, błyszczało urocze jezioro, bardziej niż zwierzęta niebezpieczne, i wspomniałem o tym ponurym dźwięku, który poprzedniej nocy tak mnie przeraził.

### *Para topielców.*

Gdy dosięgliśmy pierwszych domów wioski, pociągnąłem mego towarzysza nad brzeg wody; zapomniałem że należy zmienić ubranie; pilno mi było dowiedzieć się czegoś. Zdawało mi się, że boginie z pewnością wyjawią mi tajemnicę ostatniej nocy.

Koło świątynek cisnął się tłum; żołnierze z Nepal, oficerowie angielscy, kupcy czarni i mieszańcy, i nadzy krajowcy... Serce biło mi daleko żywiej, niż przed Mahatmą, lub na widok wolnych, dumnych lampartów... Usunąłem kapłanów indusów, o twarzach milczących przez obojętność i rozmarzenie...

U stóp bogini Naina-Dewi i Nanda Dewi, złych siostr, żądnych ofiar ludzkich, leżała jakaś bezkształtna masa. Były tam tkaniny porwane, ciała nabrzmiałe, coś nieokreślonego, hakami poszukiwaczy więcej jeszcze oszpeconego. Policya rozpędzała ten tłum ciekawy.

Zbliżyłem się i z przerażeniem poznałem parę kochanków, moją pierwszą wizję, przy Naini-Tal, anglika i irland-

kę, zamiłowanych w pływaniu po jeziorze; a więc to rzeczywiście ich krzyk przedśmiertny, słyszałem ostatniej nocy.. Złączeni byli w śmiertelnym uścisku. Ona miała rękę złamaną. on wyglądał strasznie: twarz opuchnięta, ubranie zbrudzone szlamem dna...

Zbrzydło mi od razu to miejsce uroczę. Ta warjatka w turbanie, przewidziała nieszczęście. Czułem się solidarnym z tymi europejczykami, wyteńpionymi nienawiścią okultystyczną.. W tej chwili byłem aż nadto skłonny do wierzenia w cuda... Lalki, czary rzucające, uśmiechały się, zadowolone tym razem w swych ponurych niszach.. Biedni kochankowie, ofiary tych dwóch dyabolic! Wspaniałe włosy kobiety kryły martwe ciało — sztandar rozkoszy, stał się teraz całunem!

### *Praczkii.*

Zaraz nazajutrz pospiesznie porzuciłem Naini-Tal, nasycony cudami i tragedją. Skierowałem się do Agra, najpiękniejszego miasta południowych Indyj, aby ukoić wzniosłym widokiem



Tai moje nerwy człowieka Zachodu, wstrząśnione przez bóstwa Azyi.

Piechotą zaszedłem do Brawery. Przechodząc mimo głębokiego potoku, zasilanego wodą wiecznych śniegów, zatrzymałem się chwilę, by popatrzeć na praczki. Nic bardziej malowniczego, słodszeo dla oka i zmysłów, wystawić sobie nie można. Te piękne dzieci gór, prawie nagie, niektóre zupełnie nagie aż do pasa, piorą swe zasłony i okrywają ciała. Niema w nich tej wåtłości członków kobiet południowych, u których nabrzmiała pierś wy-daje się w obec szczupłości całej postaci, anormalną wyniosłością. Tutaj pełne piersi, gotowe do spełnienia funkcyi karmienia, podobne są do fontanny, żadnej wytrysnąć użyteczną rozkoszą. Biodra w pełnym rozwoju, krzyż giętki, przyzwyczajony do noszenia ciężarów, nogi muskularne, silne od chodzenia po skałach, gdzie stopa nakształt ręki, czepia się złomów.

Jedne depczą bieliznę; inne pochy-lone biją pięścią z takim zapałem, iż podnoszą się kaftany odkrywając ciało na grzbiecie i bokach, drżące siłą. Niektóre zwracają się nagie, aby ubrać

się, i tkanina przylega do ich ciał, tworząc z nich cudne posągi.

Ale marmur nie oddał-by tego zabarwienia skóry, jakby spalonej przez słońce, tej różnobarwnej dziwaczności kamieni i naszyjników, i tych wspaniałych włosów czarnych, falujących w tem skromnem rozpasaniu kobiet, pół nimf, pół zwierząt, pluskających się w tej wodzie z wiecznych śniegów...

---

*Nigra sum sed formosa.*

Doznaję nieraz trwogi, — siedząc w „tonga,“ zaprzężonej parą znarowionych koni, lecących w stronę przepaści zagrodzonej parapetem nie wyższym od wzrostu małego dziecka. Zdaje mi się, że dwie dyablice z Naini Tal ścigają mnie nienawiścią swą aż tutaj. Trzeba zręczności, siły woźnicy, opatrności, opiekującej się podróżnymi, aby na każdym zawrocie nie runąć w przepaść stu stopową.

W około nas skaczą zręczne, z bawczem spojrzeniem, wielkie białe małpy, o długim owłosieniu, z twarzami do masek podobnemi; poważne sępy naradzają się na skałach; wozy

przejeżdżają, ciągnięte przez byki potężne i łagodne.

A! jakże piękne są popasy w cieniu, obok czystej źródlanej wody!

Śliczne nagie dzieci pędzą przed sobą żrebięta, a melancholijni i uparci „coolies“ prawie na czterech łapach, jak zwierzęta, uginają się pod straszniemi ciężarami, nie patrząc, nie mówiąc, idąc nieustannie tą górą bez końca, podobni do tych skazańców nowożytnego piekła, piekła stworzonego przez nas, ludzi...

Po dwudziestu dwóch godzinach podróży wagonami, przy piekielnym upale i niebezpiecznych chłodach nocy, ujrzałem śliczny obrazek. Mała induska odprowadza swą matkę chorą do doliny. Twarz jej dziecinna, szczęśliwa z życia, pomimo niewoli i nędzy, cudną się wydaje pod dziewiczą zasłoną. „Nigra sum sed formosa“. Jestem ciemna, lecz piękna.

Obrączka wisząca w nosie, zwisa aż na wargę. Ta wątła, śliczna statuetka wschodniej Ewy, z gracyą księżniczki, obraca się w tym brzydkim zamęcie stacyi, ręce jej wzywają pomocy, podczas gdy matka staruszką latami wychudzona, podobna do szkieletu,

poruszyć się nie może. Niepokoi się mała induska, niepewna, nieświadoma, przerażona może, ale z ust jej nie schodzi ten uśmiech, mający w sobie wiosnę całą. Ramiona jej, dojrzałe do uścisku, obnażają się; ukazuje się jej pierś, cudo wytworności i pełności; nogi świecą w słońcu. Palce u nóg, ozdobione pierścieniami błyszczą: podziwiam pierwszy palec, jak ptaszę wznoszący się; przywołuje pieśczętę, chciałoby się go wziąć w usta, by uchronić od pyłu drożnego, ten palec drgający niepokojem, zduszony grubą srebrną obrączką.

---

## ROZDZIAŁ V.

### Agra.

Apoteoza kwiatu. — Dwaj anglicy rozmawiają. — Grób wielkiego Akbar. — Fort i pałac mongołów. — Itha. — Jahan płakał. — Meczet. — Perła.

#### *Apoteoza kwiatu.*

Agra! W dali Taj, cudny poemat marmurowy, „cud świata“. Nie śmiem

zwiedzić go wyskakując z pociągu, gdyż zdaje mi się, że potem wszystko wyda się szarem, brzydkiem.

W dali kopuła, wznoszą się minarety urocze, dumne... Odpoczywam parę godzin w tym obszernym hotelu, zdającym się być świeżością samą, gdy w około rozciąga się pas ognia. Przy śniadaniu, siada koło mnie Anglik z podagrą, znudzony swą samotnością. Raczy rozpocząć rozmowę, opowiada wciąż o swej chorobie i chociaż ciągnie olbrzymią nogę, w podartym pantoflu, ciągle gdzieś wchodzi, pragnie wszystko widzieć.

Siwy wąs, skrzywienie ust, wystawienie na pokaz znaków masonskich, zdradza w nim człowieka poszukującego przygód, jeżeli nie awanturnika. Naturalnie, przebiegł świat cały i zna wszystkie jego zakątki, ze wszystkimi doskonałościami i ułomnościami, wyraża się zaś o nim z lekceważeniem. Innem jego zajęciem jest, redukcja wszystkiego, co widzi, na wartość pieniężną. Co się tyczy historii to nieświadomość jego jest epokowa; po za chorobą nic go głęboko nie interesuje. Wieczorem pójdziemy razem zwiedzić Etmaddou-

lah. Tak nazywają gwebrowie awantur-  
nika, przybyłego z Teheranu. Nazywał  
się Ghaias-ud-Din, był ojcem Nur-Ja-  
hany, małżonki cesarza Ichangir i dziad-  
kiem Mwutaz-Mahali „Damy z Taj.“  
Ta chciała go uczyć srebrnym pała-  
cem, ale wytłomaczono jej to, gdyż  
wówczas srebro zbyt drogie było,  
a szczególnie zbyt łatwo unosić się  
dawało. Ten poszukiwacz fortuny, za-  
sługuje, by fizygnomia jego, i bardzo  
wschodnia, naszkicowaną była.

Szachraj, cheiwiec, nie przestawał  
być poetą. Uprawiał swych klasyków,  
nienawidził beczynności, i skorzystał  
ze swego wysokiego stanowiska we-  
zyra, by kazać się osypywać prezen-  
tami. Umiał zachować dumę, pozwa-  
lając się kupić. Nie był takim próż-  
niakiem jak indusi, między którymi  
przebywał. Złodziej ten, prowadził  
ściśle rachunki państwowych finansów  
i rabował ile mógł. Ichangir tak go  
lubił, iż oświadczał, że towarzystwo  
jego przyjemniejszym jest, „niż upaja-  
jące napoje“. Umiał nie mieć ani jed-  
nego nieprzyjaciela i nigdy nie unosił  
się gniewem; zamiłowanie do literatu-  
ry doprowadziło go do zupełnego pa-

nowania nad sobą. Został dworakiem do ostatniej chwili życia.

Gdy miał już wydawać ostatnie tchnienie, zięć Jchangir odwiedził go. Nur-Jahan, towarzysząca mężowi, pochyliła się nad konającym ojcem, by go spytać: „Czy widzisz i poznajesz Jego Cesarską Mość?“ Ghaia sud Din, zużytkował swe ostatnie tchnienie, by wypowiedzieć komplement. Przytoczył dwa wiersze z poematu narodowego.

„Gdyby ślepy z urodzenia ujrzał cię  
[tu dzisiaj.  
Poznał by cię z pewnością po blasku  
[twego czoła!

Mówiąc to umarł.

Przechodzimy ogrodami, których wonie towarzyszą nam aż do grobów. Grobowce są wszędzie, w każdym pokoju, najczęściej puste—służą za ozdobę, gdyż tam pogrzebani są tylko: awanturnik pers, żona jego i wierny sługa, z którym nie chciał się rozłączać — nawet po jego śmierci. Ten przeniewierca, znający doskonale serce ludzkie, nie przyjmował żadnego posiłku, nie wziął kropli napoju do ust, zanim przez ostrożność nie spróbował służący.

Nie miłszego, a zarazem weselszego nad te grobowce w Azyi muzułmańskiej. Już w Konstantynopolu skromny kamień, malowany i inkrustowany w kwiaty, w niezliczonych cmentarzach, nie mógł nie dać wrażenia żałobnego. Tu jeszcze lepiej. Czuje się tylko bogactwo i przyjemność. Bóg wie jednak, jakich cudów artysta musiał dokonać, aby ożywić te mury istotnie martwe, ponieważ twarz ludzka, sylwetka zwierzęcia, rozkazem proroka wzbronioną została!

Kwiaty i czary, w których się one mieszczą, mnożą się w tych marmurowych płytach; to czary i kwiaty sztuką zaczarowane, podobne są jednak do istot żyjących. Są fantastyczne. Imaginacya wytworna i urozmaicona, wytwarza śliczne potwory. Te czary żyją, nabrzmiewają, jak zadowolone żołądki, czasami pękają w kształt wygiętych ryb... Opadające płatki kwiatów mogły by być fantastycznymi motylami. Ten grobowiec człowieka, jest apoteozą kwiatu...



## *Dwaj anglicy.*

Mój Anglik czuje pragnienie po tak długim spacerze, a ponieważ nie może wracać o tej porze do hotelu, więc znajduje sposób, by kazać się zaprosić a zarazem i mnie, przez spotkanego na drodze przemysłowca na „wisky i soda“.

Zatrzymaliśmy się przy fabryce bawełnicznej. Przechodzimy najprzód warsztatami, gdzie drobne dziewczęta przedzą nić; pracują z przyjemnością uśmiechają się tym zrezygnowanym uśmiechem, w którym jest jednak wiosna; spotykałem to tylko w Indjach!

„Home“ naszego gospodarza jest prostoty nadzwyczajnej. Ręce jego czarne, bluza ordynarna, samowolna szczeka wysuwa się z pod kasku kolonisty. Od dwudziestu lat mieszka w Agia, i z trudem zbiera rupię do rupii, ale serce tego przemysłowca nigdy nie drgnęło na widok uroczystych subtelności tego kraju, gdyż on go nienawidzi, a spostrzega tylko niedogodności klimatyczne; będąc panem siebie, czuje się wygnańcem w pośród

tej rasy, którą pogardza i która obcą dla niego pozostaje. Jedyłą nadzieją jego—to powrót do Anglii, do swego okręgu, z kieszeniami naładowanemi pieniędzmi. Tam córka, której nie zna, wychodzi za mąż. Nad pulpitem, gdzie załatwia korespondencyę handlową, wisi karta Transwaalu, protesty Roberta i deputowanego, przedstawiciela jego okręgu. Anglia żyje tam, w tym strasznym zakątku, gdzie lato piekące i noce duszne, prawie śmiertelne, wygnały do zrujnowanego Delhi, cesarza Sha-Jahana który kazał tam odbudować nową stolicę..

Rozmawiamy o południowej Afryce; ci dwaj ludzie ani słowa nie zamieniają o wojnie i jej okropnościach, mają tylko myśl jedną: złoto leżące około Pretoryi, mającej być własnością Anglii. Przyglądam się tym typom tak różnym, ten gruby, okrągły, oszlifowany; a ten chudy, wyostrzony, szorstki — obaj pochłonięci tą, samą namiętnością: Anglią i pieniędzmi!

---

### *Grobowiec Wielkiego Akbar.*

— Agra, Sáb, to księżyc spadły na brzegi Inuma, to naszyjnik perłowy z nieba w darze Indyi zesłany, to uśmiech Allaha!

Mufti, towarzyszący mi i anglikowi, szerokim gestem pokazuje nam miasto, podobne istotnie do bladego łuku, porzuconego przy rzece, ze swemi pałacami z Tysiąca i Jednej Nocy i grobowcami, będącemi jakby olbrzymiemi bursztynowemi paciorkami, w mużmańskim różańcu.

Oto marzymy o Sikandara, na najwyższym tarasie, wieńczącym grób wielkiego Akbara.

— Spójrz. Sáb, na kopułę Taj w dali, Taj, gdzie spoczywa najpiękniejsza z Begunów. Powiedziałybyś wielka mleczna gwiazda, błyszcząca pomimo światła dziennego! Tam, wykładam niedorostkom, pragnącym poznać tajemnicze znaczenie wielkiego Koranu, spisane go na marmurze murów i kopuł. Czytamy na grobowcu miłości księgę wiecznego życia!

Ten mufti, to nie pierwszy lepszy przewodnik, dał mi go „commission-

ner\* uczący się od niego po indyjsku i poutchou, gdyż nie tylko jest kapłanem, lecz i „monuchi“ to znaczy profesorem. Oczy, w których łączy się subtelność z wiedzą, błyszczą w jego twarzy mongolskiej z barwą jaśniejszą, niż skóra Indusów; a turban biały, olbrzymi, dwanaście razy związany, tworzy mu miękką koronę. Jakże on się różni od braminów zezwierzęconych, przesądnych, lub strasznych „sanjasów“! Allah, Bóg jeden, przetwarza poganina, z dzikiego robi człowieka. W Indyach, jeden muzułmanin wart stu indusów. Towarzyszy nam aż do Sikandra, o siedm mil od Agra. Usiadł przy woźnicy na bryczce, którą mój przypadkowy towarzysz wynajął za skromną cenę płaconą zwykle za „carry“ \*). Mój anglik nie chciał, by przewodnik siadł na przedniej ławeczce, najprzód, by móżdź lepiej wyciągnąć swą chorą nogę, następnie dla tego, że pogardza tuziemcami, nawet najbardziej uczonymi.

Długa droga, wysadzona akacyami, prowadzi z naszego hotelu do Sikan.

---

\*) Wózek krajowców.

dra; to kopuła zielona, cienisty parasol nie opuszczający nas, ani na chwilę. Słońce już potężnie przyświeca. Przejeżdżamy przez jeden z czterech portyków, każdy z nich stoi na straży czterech głównych punktów i prowadzi do tego mausoleum, alejami wyłożonemi płytami kamiennemi; atmosfera przepelniona tam jest aromatem kwiatów

— Sâb — mówi znów kapłan — nie jesteś tu tak jak w Etmadrullah, u jakiegoś awanturnika, ale u największego króla świata. Czytałem w bibliotece mego ojca, pomiędzy manuskryptami poświęconemi Prorokowi (niech będzie błogosławiony) historję Aleksandra, Ludwika XIV, Napoleona napisaną po angielsku.... Są to cienie w porównaniu z Akbarem, tem słońcem! Od Stambułu, aż do Kachmyru kobiety i dzieci nawet, wiedzą o jego chwale, czczonym jest w pustyniach afrykańskich. Pochodził od Tamerlana, to on wznosił w Agra stolicę, te wszystkie olbrzymie i wytworne cuda on zbudował. Kochał wszystkie rzeczy wielkie, słodkie, szlachetne: bitwy, przepych, pałace, kobiety, kąpiele, religię i magię... Przywołał na swój

dwór tych „Padres“ Jezuitów i otoczył ich honorami. Ożenił się z chrześcianką katoliczką, i pozwolił jej czcić obrazy. Nienawidził strasznie fanatyzmu i prześladowania, przed jego tronem bramini, mufti, bonzy Budhy, kapłani Sziwy, mogli się kłócić ile chcieli... ale nie pozwolił im zjadać się wzajemnie....

Wy, którzy nie macie się za barbarzyńców, nie mieliście nigdy rządów tak tolerancyjnych... Akbar umarł, wierny Allahowi i pełnemu chwały Koranowi!

Alikum şalem jemu i jego domowi!

Wesołość jaką odczuwałem na grobie awanturnika, przeradza się tu w uniesienie radosne. Ten dom śmierci jest zamieszkały przez sztukę i piękną. Z jednej marmurowej platformy, przechodzi się na drugą, rzekłbyś jakieś schody prowadzące do raju. Widok coraz piękniejszym się staje. Schody marmurowe, pawilony marmurowe, gdzie dotknie ma ręka lub stopa, wszędzie marmur. Nie ten biały, banalny, zimny, rzeźbiony przez nowożytnych artystów, lecz jakaś substancja jakby wyłoccona, tak dużo wchłonięła w siebie promieni słońca. Przy-

chodzimy nareszcie na szczyt tej piramidy tarasów. Z tego najwyższego piętra, po przez otwory najwytworniejszego marmurowego parapetu, roztacza się okolica spokojna, szmaragdowa, przerźnięta drogami i rzekami. W dali, biała kopuła Taj, zdaje się być księżycem, w biały dzień wznoszącym się na wschodzie. Opieram się na królewskim balkonie, rzeźbionym z cierpliwością nadzwyczajną; a w około wznoszą się ku mnie pawilony piętr niższych, obszerne, lub drobne, przeznaczone dla kobiet i muzykantów... Gdyż dziwny ten lud, nigdy nie obawia się śmierci...

Akbar, po odniesieniu zwycięstwa, odprawiał uroczystości w ogrodach i na tarasach Sikandry. Od chwili gdy tam został pogrzebany, lud udaje się tam w dnie uroczyste, pije, je, śmieje się w tym pałacu radości, zbudowanym na prochu ludzkim.

Jakaś ruchoma, barwna plama, w jednym pawilonie, zwraca moją uwagę. To dwoje dzieci całujące się. Palce ich splecione, jak gałązki trzciny w koszyku. Uśmiechają się, prawie nadzy, z tą niewinnością i uczuciem, właściwem tylko Indyom. To są

zapewne dwunastoletni narzeczeni, połączeni przez rodziców i astrologów, spełniający pod opieką wielkiego zmarłego — wolę Rasy i Gwiazd.

Mufti ciągnie mnie ku cenotafowi (kamień grobowy) po środku tego tarasu. Jest on prostoty geometrycznej; rzekłbyś, twardy słupek kwiatu marmurowego, którego czas zniszczyć nie zdołał...

Niema innego nazwiska na tym kamieniu, prócz imienia Allaha: czytaj. „Allahonk Akbar. Allah jeden wielki.“ Formułka dumy i skromności, przy pomocy jej, cesarz przypomina, że to imię Akbar (wielki) godnem jest tylko Boga — a jednak, on je nosił. Materjalne szczątki cesarza nie spoczywają tutaj; kości jego złożone w piwnicach pod ziemią; tu pozostała jego dusza, spoglądająca w niebo i unosząca się nad światem.

Ale mój towarzysz nie słucha opowiadania „mounchi“, stuka swą laską o wspaniałe grobowiec, na którym usiadł prozaicznie, i obejmując okiem tę wymarzoną architekturę, mówi flegmatycznie:

— O! to doskonałe miejsce do „garden parties“...



## *Fort i pałac Mongołów.*

„Kto nie widział Agra, nie objął szczęścia całego!“ tak mówi przysłowie anglo-indyjskie. I rzeczywiście zdaje mi się dziś, że dusza moja wyszlachetniała, uspokoiła się w zetknięciu z temi dumnymi pięknościami, podczas gdy skomplikowanie i szal indusów, budził w mych nerwach, barbarzyńskie i ospałe pierwiastki, potworne marzenia, gorączki i lenistwo.. Agra, odtąd ty jesteś we mnie, jak kobieta tak podziwiana, jak kochana...

Gdy zwiedzałem pałace i fort, sławne w Indyach Północy, których przepych i czar, nawet w Delhi nie został przewyższony, to wrażenie kobiety towarzyszyło mi zawsze. Bo też tutaj wojna i miłość, siła i rozkosz są istotnie siostrzycami. Jaka młodość i świeżość, pomimo że czas zatarł malowidła, pomimo że wtargnęli tu najezdcy, barbarzyńcy! A jednak czuję jakąś przepaść między mną a temi gmachami: pochodzi to zapewne z różnicy rasy, z czasu ubiegłego; a przytem chrześcijaństwo przyzwyczyło nas do

gorącości duszy, czego tu brak zupełnie. Tu panuje monotony wdzięk zdobywców mongolskich, szlachetność tych co na ruinach przesądów i bałwochwalstwa, upojeni zostali pojęciem jedyne go Boga.

Dewan-Khas, Dewan-y-am (sala sądowa, sala przyjęć) dają świadectwo takiej architektury kwitnącej mozaiką i arabeskami, że nasze muzea, ratusze, wygladają przy tem marnie i ponuro. Arkady wykoronkowane jak kielichy kwiatów. Drogie kamienie błyszcza na murach, jakby na sztychach królewskich. Wieża Jaśminowa, gdzie zbierały się faworyty, jest sama w sobie klejnotem w marmur oprawionym. Wzywałem małe księżniczki, o skórze cytrynowej, lub koloru herbaty, grzebiące swe marzenie o swobodzie w ustronnych pawilonach, tak, jak kryły w głębokich dziurach, gdzie znalazłem tylko pustkę — swe perły i szafiry...

Stąd roztacza się najwspanialszy widok: z wyżyn minaretów Taj, nie podziwiałem piękniejszego! Z łona Imuna wylaniają się wyspy; jest tu rozmaitość szczegółów nieporównana, życie nowożytnie z pracowitemi praczka-

mi rozkładającymi bieliznę na wyschłych krzakach w Dali - Taj, fossy tuż, a w głębi—miasto spowite w mgłę dymu.

Nie mógłbym opisywać porządkowo rozmaitych sal, mieszkań niezliczonych w tym pałacu Akbar.

Pójdę tylko śladem, pozostawionym w mem wspomnieniu, przez te wspomnienia. Widzę mały meczet, cudo białe szczerej pobożności, gdzie się znajduje kamień, na którym modlił się Akbar, między dwoma swymi synami; następnie wązkie miejsce gdzie był więziony przez siedm lat cesarz Sha-Jahan, gdy stał się niewolnikiem swego syna, i dziwne podziemia z wrotami dziś zrujnowanymi, prowadzącymi do najważniejszych punktów miasta.

Wszystkie te olbrzymie budowle tak są pełne dzieciństw i zabaw, jak potęgi i zbrodni... W jednym z wewnętrznych dziedzińców płyty różnobarwne naśladowają olbrzymie szachownice. Cesarze grali w szachy żywymi pionkami. Księżniczki ubrane w szaty różnobarwne, tworzyły całą grę kolorów tęczy. Poruszały się zgodnie z kaprysem gracza. Sunęły z płyty na płytę, jak żywe pionki na szachowni-

cy. Tym sposobem ta gra, utworzona z abstrakcyjnych kombinacyj, stawała się rozkoszą oka i dziełem sztuki...

Obok sala kąpielowa, w półzroku, niespokojna jeszcze, inkrustowana zwierciadłami, zdającymi się zachowywać odbicie tych wybranych nagości, spędzonych z czterech stron świata, dla Jego Wielkości. Zwierciadła te są hypnotyzujące i lubieżne, jak nieruchome oczy, sycące się wieki całe, widokiem roju—małżonek i kochanek, osłabionych kolejną rozkoszą, płynącą z ciepłych i zimnych zbiorników, zanim wstąpić mogły do tajemnych apartamentów, gdzie służyły subtelnym rozpasaniom.

Dziś nie odzwierciadlają już nie, pochłaniają tylko rzadkie błyski światła. rozlewającego się w tym zmroku i świecą słabo jak - źrenice ślepców. Dalej wznosi się czarny kamień, będący tronem Akbara, z którego on przypatrywał się walce słoni z tygrysami, w głębokich fosach fortu... Dusza tych zdobywców była uroczą i okrutną. Zmysłowa rozkosz, bratała się z morderstwem! W podziemiach, z przeżeniem patrzyłem na straszną izbę,

gdzie ci „Sino - Brodzi“ Azyi, wieszac kazali nieposłuszne lub ciekawe, tuż nad ziejącą dotąd odchłaniają, unoszącą piękne trupy na fale Imuny...

Trudno sobie zdać sprawę z życia melancholijnego, próżniaczego i niewolniczego, jakie prowadziły kobiety w tym pałacu. „Haremy“ zachowały swą tajemnicę.

To tylko wiemy, że z jednej strony mieszkały kobiety induski, a z drugiej mużłmanki. Te puste pokoje podobne jedne do drugich. Pozbawione są już duszy. Ogród tylko pozostał słodyczą i wonią. Nie zmieniło się słońce i kwiaty, a dzieło człowieka paszło w niepamięć.

---

### *Sha-Jahan płakał.*

Usiadłem, zmęczony widokiem tych cywilizacyj zamartwych, przygniatających nasz mózg, całym swem barbarzyństwem i wspaniałością, w pokoju skromnym, zupełnie ozdób pozbawionym, gdzie Sha-Jahan, potomek Akbara, był przez własnego syna więzionym po długich latach panowania w Azyi. Wskutek jednego z tych częstych zwrotów w dynastyach wscho-

dnich, skończył marnie swój żywot, w jednym z zakątków pałacu.

Mufti, przeniknięty czcią dla tej wspaniałej przeszłości, opowiada mi głosem wzruszonym ostatnie chwile tego Sha-Jahana, prawie tak wielkiego jak Akbar, a który był małżonkiem Mumtaz-Moholi „Duszy Pałacu“ — damy z Taj... Właśnie z tego zakątka pałacowego, widzę cudny pomnik śmierci i miłości, którego biała kopuła odcina się na czystym niebie, jak nagie łono kochanki.

— Sha Jahan—rzekł mufti — czuł, że nadchodzi ostatnia jego godzina. Wówczas błagał swego syna Aureng-Zeba, będącego teraz jego wrogiem i panem: „Chcę widzieć po raz ostatni w życiu ten Taj, miejsce święte gdzie spoczne obok mej ukochanej.

Ponieważ niegdyś groźny ojciec teraz ledwie dyszał, więc syn ustąpił. Na krześle marmurowem, zaniesiono starego sułtana do tego właśnie okna. Ujrzał Taj i płakał!

Zachodzące słońce rzucało różowe błyski na ten pomnik nieruchomy. Istotnie tak piękny, jak pierś kobiety. Łzy Sha-Jahana, wskrzeszone opowiadaniem muftiego, chociaż wyschły od

wieków, wydały mi się najpiękniejszymi klejnotami, tych pałaców, mieszczących w sobie jednak największe skarby Azyi. Sha-Jahan płakał! władza jego znikła, lecz miłość i sława pozostały nieśmiertelne. Spełnił zadanie człowieka, polegające na wyrażeniu, życia w akcie trwałej piękności. Mógł umrzeć spokojnie. Młodzieńcze me oczy na pełniły się łzami.

— Dla czego płaczesz, Sáb, — pytał mufti — wszak nie jesteś mongolem?

Ja nad sobą samym płaczę, mufti. Czyż nie powinniśmy budować własnych grobowców, gdzieby spocząć mogła nasza miłość i tajemnica duszy naszej, czy to pod postacią pięknego marmuru, wielkiego czynu, lub harmonijnego poematu? Ale jesteśmy złymi architektami, niewiernymi i roztrzępanymi pracownikami... A iluż odchodzi, nie pozostawiawszy schronienia dla krótko trwałego wspomnienia..

— Nie martw się, Sáb; Prorok powiedział: „Ten co raz szczerze zapłakał, wejdzie do Raju!“

### *Meczet-Perła.*

Coś mnie ciągnie do zimnych płyt meczetu Perły, w Moti-Musjid. Potrzebuję wzniesć duszę po nad te cudne ruiny, do czegoś, do kogoś, wiecznie istniejącego... Towarzysz mój, anglik, rozprawia z całą chmarą przewodników, rozpytując, ile kosztowały reparacye niektórych mozaik, w czasie ostatniej wizyty księcia Walli. Rupie lecą z ust przewodników kaskadą całą, a im większą sumę powiedzą, tem większy zachwyt ogarnia anglika, Mufti towarzyszy mi. Lubię jego uroczysty nastrój, lubię tę jego miłość minionych wielkości, dumę w jego sercu wzbudzających.

Zaraz za wrotami Delhi, o masywnych wieżycach, strzeżonych przez angielskich i indyjskich żołnierzy, na podmurowaniu z czerwonej gliny, wznosi się przed okiem oczarowanem, gmach nadzwyczajny „meczet-perła—olbrzymia perła rzeczywiście, wyłobiona, opracowana rękami duchów. „Duchów“—naprawdę,—tak, gdyż jest tam coś nadpowietrznego, zbyt surowego, a jednak zbyt ładnego, zdumie-



wającego nasze pojęcie o świątyni. Nie, nie mógłbym modlić się tutaj. Nie wydaje mi się to, ani ludzkim, ani nadludzkim, ale — „nie-ludzkim.“

Pomimo to, jakże dalekim jestem od chydných pagod Kali w Kalkucie i Benares, błotnych i krwawych!

— Nie możesz nas zrozumieć dostatecznie, Sáb—rzekł azyata, odgadujący moje zwątpienia.

— Wasze białe twarze i wasza skóra nosi ślad śniegów, będących jakby pyłem waszych pustyń, wy, ludzie Zachodu. Przodkowie wasi doznawali uczucia zimna. My, przyjaciele słońca, budowaliśmy nasze świątynie pod sklepieniem firmamentu!

Mufti ma rację, kościoły nasze to gmachy dla ciał i dusz lękających się zimna. Rozmyślania nasze wymagają ciepła, przy szczelnie zamkniętych drzwiach, światła różnobarwnych szyb, lub świeczników.

Inaczej się dzieje u tych ludów słońca, przywykłych do spania pod namiotami. Wieczne kwiaty wyrzeźbione na ścianach; arkady są również wielkimi kwiatami, ale pustymi, wygłębionymi, sklepienia są jednostajne. „Mirab“ nisza wygłębiona, zastępuje

nasz ołtarz i oznacza daleką Mekkę. Nasze kościoły są schronieniem dostępnem dla kobiet, zajmujących nie raz całą nawę. Tu, umieszczone za ścianami, są niewolnicami, zbitym, stadem zwierząt domowych. Arcydziełem jest prostota frontonu—przypomina ono sztukę dorycką—w tej piękności białych kopuł, o strzałach złożonych, podobnych zdala do bladych srebrnych kul. Wzdłuż całego gżemsu wystrzelają wysmukłe pawilony, o lekkich kolumnach. W wewnętrznym dziedzińcu, gdzie w obramowaniu marmurowem wznosi się lekko sadzawka, nad którą świeci błękit nieba, podróżnemu wydaje się, że z tej ziemi skalanej i ordynarnej przeniesiony został do raju Islamu. Ale ten raj nie jest naszym. Przypomina krajobraz Baudelaira, gdzie wszystko nieorganiczne, kamień czy metal. Poważny zmierzch otacza mnie w tym meczecie czystym i pogańskim. On jest surowym, niepodobnym do naszych wzruszających zmierzchów, gdzie w różowych promieniach zachodu, krwawi się krew krzyża. Zmierzchu z Wartsworth, przychodzisz mi na myśl!

„Quiet as a nun, breathless with adoration“ mówi poeta: „spokojny jak mniszka, modlitwą czucia pozbawiona.“ Stanowczo nasze wieczory są bardziej ludzkie, zroszone łzami, wyczerpane miłością. Jedyne łyzy jakie słońce Allah osuszyło na tych płytach wspaniałych, są kroplami potu, zlewającymi ciała wojowników.

\* \* \*

...Fort pozostał, to znaczy zbiór kamieni, murów nieprzyjaznych; a te pałace w około mnie, pałace puste, gdzie chodzą za mną uniżeni, lecz skrycie pogardliwi stróże, są tylko zesztyniałymi marami. Co jest rzeczywistym, to, na nieszczęście, te kule na kupę złożone, te armaty, ci żołnierze angielscy, uganiający się na rowerach, lub w kostymach kaki, obliczający kołdry, mające służyć oddziałom.

— Uszanowali tylko Taj, Sâb... Zobaczysz go jutro; to istotnie cud świata!

## Taj.

Grób miłości.—Lekeya Taj.—Niewidzialna  
kurtyzana.—Nieubłagana duma.

### *Grób miłości.*

...Raniutko pobiegłem do Taj, zwanego istotnie przez każdego anglo-indusa—„cudem świata.“

Serce biło mi, jak u kochanka na pierwszej schadzce i jak kochanka spotkało mnie częściowe rozczarowanie. Jestem zbyt zamięłowanym w sztuce greckiej, by unosić się nad tą architekturą arabską. Inni mogą się rozplęwać; ja podziwiam, lecz nie czuję się zadowolonym. Wiem, że nie należy wymagać od istot i rzeczy tego, czego w nich niema, należy szukać co im jest właściwe. Doprawdy czuję się niesprawiedliwym w mem sercu, znajdując Taj zimnym pomimo całującego go słońca, bez tajemniczości pomimo wewnętrznego mroku, smutnym, zrozpaczonym, pomimo cudownych ornamentacyi.

Inteligencya moja lepszym jest sędzią. Chwyta potężna jedność tego, wyrafinowaną jego prostotę, harmonijną myśl z niej wypływającą.

Tu w środku XVII wieku, w chwili gdy potęga mongolska była niezaprzeczalną w całych północnych Indjach, zbudowano Taj, z rozkazu cesarza Sha-Jahana, by złożyć tam szczątki swej ukochanej „Duszy Pałacu Muntar Mahali. Ten gmach jedyny nawet w Indjach, gdzie był często naśladowany, zbudowanym jest z białego marmuru, pochodzącego z Jejsore. Prócz drogich kamieni, niema tu żadnej innej substancyi.

Jest to ośmiościan, którego cztery wielkie boki ozdobione olbrzymiami podwojami zwracają się w cztery strony świata. Kopuła wydyma się chroniona przez cztery kopułki których szczyty zaledwie wystają po nad podstawą, pełną ornamentacyi. Zakończona strzałą, na której błyszczy złoty półksiężyc Islamu.

Dwa rzędy wielkich nisz, wznoszących się jedne nad drugimi, otaczają cały gmach, powtarzając zmniejszone o połowę, cztery główne wejścia. W głębi tych nisz, przez okienka, prze-

cięte poprzecznie przenika delikatne światło, oblewające wnętrze. Wrażenie symetrii narzuca się zachwyconemu oku. Cała ta masa marmuru zdaje się być wyrzeźbiona. Gdy w magazynach Agra lub Delhi, artyści pokazują turystom wyrzeźbiony z kości słoniowej Taj, można zrozumieć na widok takiego cacka, że grobowiec ten jest tylko klejnotem kobiecym, powiększonym w kształt wspaniałego pomnika przez dumę małżonka. Całość spoczywa na dwóch czterokątnych tarasach, również marmurowych. Drugi, strzeżony jest na każdym rogu przez wysmukłe minarety, których szczyt podtrzymuje ośm słupów. Cztery wątle kolumny, wprawione z każdej strony pomnika, jak lance wystrzelają po nad dach tarasu, tworząc ozdoby ślicznej korony.

Wieczny półcień panuje wewnątrz tego nadzwyczajnego mausoleum. Wewnątrz, tak jak i zewnątrz, mury są cudami sztuki. Cały ogród nieruchomy, marmurowy, flora pół włoska, pół indyjska, inkrustuje się ze szlachetnością i pięknnością trochę smutną, gdyż brak jej woni. Jaspis i agat ubiegał się z marmurem czarnym, aby

stworzyć tę wegetację tak martwą, jak te dwa groby, gdzie sztuczna flora, wytworniejsza jeszcze i droższa—splata się z sobą. Groby otoczone są wysokim, ogrodzeniem, cudem marmurowym, koronką sztywną, z której wznoszą się portyki o uroczystym frontonie.

Właściwie w podziemnym pokoju, gdzie dzień i noc panuje ciemność, spoczywają królewskie relikwie, kości Sha-Jahana i Muntar-Mahali. Groby, które przedtem podziwialiśmy, są tylko grobowcami na pokaz. Te prawdziwe są szczególnie czczone przez muzułmanów. Kobiety modlą się tam; leżą tam stosy świeżych, lub już zwiędłych kwiatów, złożonych przez ręce nabożne; zwietrzałe wonie napęniają powietrze, symbol tych dusz uwiecznionych w marmurze.

...Dziś tylko wszedłem na chwilę; dwa bliźniacze groby stoją obok, jeden wyżej—pana drugi niżej—małżonki. Głos mój echem powtarzany przeszedł w brzęczenie pszczoł; w pokoju, podziemnym, gdzie szczątki istotnie spoczywają, cień głębszy panuje, jak gdyby sen wieczny lubował się spowiciem tych niematerialnych całunów..

## *Nauka Tajū.*

Słyszałem tajemniczy głos Tajū, przemawiający do mego ducha, w świetlonym blasku poranku:

— Spójrz na mnie — mówił — ty, co wolisz przyćmione katedry lub piękne świątynie greckie. Chcę wzbogacić twój umysł nowemi danemi. Sądziłeś, że wszystkie azyatyckie wspaniałości z nieładu wzięły początek. Ja jestem uśmiechem równowagi! Mój poemat śmierci i miłości przetrwał epoki, uszanowany nawet przez wojny, gdyż pięknnością zdobyłem nieśmiertelność!

W tej chwili jakiś biedny indus podał mi różę zerwaną dla mnie w ogrodzie, w nadziei otrzymania bakczyszu. Powiedziałem sobie, że żyje on zapewne mając dwa lub trzy ana dziennie, to znaczy zaledwie sześć, czy ośm su. Ogarnął mnie gniew w obec tych wspaniałych budowli, przy których umierają rzesze zgłodniałe. Przez dwadzieścia dwa lata, dwadzieścia tysięcy ludzi, codzień pracowało bez wytchnienia i wydatki mogły się wznieść do czterech milionów funtów.



Radżowie i nababowie dali połowę, reszta wypłynęła z tajemnego skarbcza cesarskiego. Opłacano tak źle robotników, iż pomimo codziennie wydawanej porcyi zboża, ginęli masami... To marzenie marmurowe jest świadectwem żałoby i rozpacz...

Burzyłem się wewnątrznie, gdy znów Taj przemawiać zaczął.

— Jak wszyscy dzisiejsi europejczycy, ogarnięty jesteś przesadami o życiu ludzkim i szczęściu materyalnym, sądzisz że lepiej żyć, niż spełniać wielki czyn. Nie tak myślano dawniej. Najważniejszą rzeczą było pozostawienie po za sobą czynu wspaniałego. Ci pokorni wyrobniicy nie są tak pożałowania godni, jak tobie się wydaje. Mają oni swą rubrykę w księdze sprawiedliwości, która przy końcu świata zamknie owe rachunki. Piękność tak jest potrzebną światu, jak chleb i woda.

— Ależ—odparłem— ci biedni krajowcy nie mogą ocenić zasług Taj, a kanały irygacyjne nie mało przyczyniły by się do zwiększenia ich dobrobytu.

— Cóż ty wiesz o tem? Czy widziałeś, jak obsiadają platformę leżącą

w środku ogrodów i patrzą uporczywie na ten dom biały, wzniesiony rękami ich ojców. Ta rasa przesiąknięta jest miłością piękną. Kobiety rzeźbią swe dzieci według ideału, przewyższającego wasz ideał.

Najbiedniejszy „coolie” najmniejszy żak, mają ruchy królewskie. Czują piękność nie zdając sobie z tego sprawy. Żyją nią jak powietrzem lub słońcem,

Odtąd patrzyłem na cudo marmurowe z mniejszym smutkiem... Nigdy wiedzieć nie możemy, czy nasze dzisiejsze odczucia, nie są prostymi przesądami, którymi pogardzać będą przyszłe ludy,

Poddałem się wrażeniom artysty, usuwając na chwilę niepokoje humanitarne. Główna kopuła wydłużała się na niebie, otoczona czterema innymi kopułkami, jak patriarcha synami; cztery wierzycki otaczające budowlę dopełniały harmonię; patrząc na to szedłem cieniłą drogą obok basenów. Majestatyczny fronton otwierał się przedemną. Wzlecieć chciałem ku nieukończoności. Składałem dzięki tajemniczej przyczynie wszech rzeczy któ-

ra pozwoliła mi ujrzeć najpiękniejsze rzeczy na ziemi, używać ich i słuchać ich rad, aby moja dusza w swoim czasie przyuczyła się być piękną. Na cóż zda się bogactwo, a nawet miłość, jeżeli mają one związać nas z nędznym zakątkiem ziemi, jak zamkniętym jest pies w swej budzie? Aby być wielkim, należy poznać cały świat wspaniały... Nietylko Azyi zawdzięczamy Taj—ale także i Francyi. Włoch z Wenecyi, Geronimo Verroneo, przygotował plany i kosztorys, ale artysta francuz Anstin, nadał mu ostateczne piętno swego geniusza. Rasa latyńska, współdziałając z przepychem Azyi, miała zrealizować widok niedający się opisać...

Jakże uroczystym i ślicznym jest ten portyk!

Jak te arabeski dobrze się wyginają w girlandy lub liry! Jak te ustępy z Koranu, otaczające drzwi, zdają się być kartką nut, streszczającą w kilku znakach tajemną harmonię grupującą te linie i białości.

Mniej niż zwykle napastują mnie przewodnicy, więc mogę sam okrążyć budowlę, podziwiać podwójny taras, meczety, identyczne z temi, co osłaniają Taj wspaniałością wrót! Sło-

dycz ogrodów, miękość zakrętów Innu-my, tej rzeki tak czczonej jak Ganges! Drapię się na szczyt jednego z minaretów, gdzie dostaje się zawrotu głowy. Siadam na sposób wschodni, na marmurze wyższego kiosku, w cieniu wysmukłej kolumnki, żadnym parapetem nie chroniony....

U mych stóp roztaczają się Indye, Indye słodkie i biedne w swych mieszkańcach, lecz obszerne i obfite w swej naturze. Krajobraz, czarowną różczką zdaje się wywołanym; aby oddać całą jego piękność, nie wystarcza być malarzem, ale magikiem. Mgła otaczająca fort jest poezią muślinową. Agra spoczywa jeszcze we wdzięcznych gazach poranku. Płaska, szeroka łódź, odpływa od piasków wybrzeża; unosi kobietę tuziemkę, w czerwonej płachcie, z miedzianem naczyniem błyszczącym w słońcu na głowie; miejsca gdzie można przejść w bród, jak wyspy wylaniają się z wody; po drugiej stronie zebrane zboże, rozstawione jest w szopkach w ogrodzie. Wzdłuż tarasu przechadzają się mułowie, zajęci nauczaniem Koranu młodych swych uczni... Zgrzeszę, ale powiem, że ta natura piękniejszą jest

jeszcze od marmurów. Gdy patrzę na Taj, ujęty jestem tą niewzruszonością marmuru, odczuciem czegoś bardzo dalekiego. Oto zupełnie inna od mojej rasa zostawiła swój ślad, ale „ślad” tylko zachował urok i wielkość.

Ta rasa tak silna, pozostała niewykończoną.

Będąc śmiałą, lękała się jednak wypisywać twarze ludzkie na swych świątyniach i pałacach, gdyż prorok jej tego wzbronił. Reaguje przeciw antropomorfizmowi, zoomorfizmowi indusów autochtonów, którzy przynajmniej niepokoją, buntują, roznamietniają; trzyma się krańca przeciwnego i tym sposobem, nie dosięga wyższej sztuki.

Indusi zbyt hojni, rozrzutni, zdefigurowali rysy człowieka i zwierzęcia; arabowie, mongołowie, tatarzy, zbyt skąpi, pragnęli mieć na swych pomnikach tylko linie geometryczne i kwiaty. Wieczne wahanie się w estetyce, lub rządzie światem; biedna rodzina ludzka, płacąca każde nadużycie słabością! Siły nasze ograniczone są przez naturę i zmniejszamy je jeszcze naszą niewstrzeźliwością, za którą

idzie nieśmiałość. Kiedyż nadejdzie czas, gdy człowiek rozwinie całą swą swobodę, odwagę, zerwie pęta przesądów i niewoli społecznej, czas — w którym zrealizuje się cały, bez wstrząśnień, zależnie od rozwiniętych swych potęg wewnętrznych?

Ale zbłądziłbym, zmniejszając tę świetną realizację przeszłości, porównywując ją z ideałem przyszłości, spoczywającym jeszcze w pieluchach. Oto symfonia marmuru, której szczegóły, opracowane z cierpliwością, przechodzącą w drobiazgowość, pozostają w zależności od majestatycznego całości kształtu.

To widok błogości dla wielu pokoleń. Przyjdą tu, by dać odpoczynek niespokojnemu umysłowi, i zrozumieją, że wszystko co denerwuje i męczy, będzie prędzej czy później odrzucone.

---

### *Niewidzialna kurtyzana.*

Po południu wróciłem do Taj; więcej pyłu na drodze, a koło słoneczne, podniosło także pył złoty na niebie. Dają się unosić powozowi i losowi.

Taj piękniejszym jeszcze się wydaje w tej porze dnia. Bielszym jest i czystszy. Większa miłość płynie z jego linii, większą rozkoszą zieją te kamienie. Miłość, rozkosz, żałoba, do wspaniałości podniesione, przez te rasy, od naszej oddalone, nie tylko wiekami, lecz krwią i ideałem!

To wrażenie „różnicy“ potęguje się, gdy znów wewnątrz gmachu, rozmyślam przy tych grobach na pokaz. Nie czuję bólu, nie odczuwam żalu i nadziei.

Roztacza się tylko duma i wspaniałość. Jestem tam przed temi grobami, jak przed skarbami, klejnotami!

W około mnie, wygina się i wypowietrznia cudna balustrada, zrobiona z powiązanych ze sobą marmurowych kwiatów. Inne kwiaty, inkrustują się w grobowcach, kwiaty zdające się tak świeżemi jak żywe; im wyżej pną się na kamieniu, tem stają się cieńsze, lżejsze, podobne duszom uskrzydłonym, wirującym w wytwornym splocie. Echo na, wzór tych girland, jest czystem i subtelnem. Stróż śpiewa strofę mongolską, w której mowa o bitwie i pieszczotach; strofa z kopuły, dokąd popłynęła — wraca

do mnie — szczerą i wziętą jak te kwiaty. Nie mogę powstrzymać się, by nie podnieść głowy, jakby chcąc ujrzeć echo. Zdaje mi się, że to powtórzenie dźwięków nie jest już zjawiskiem fizycznym... Tam w górze musi zamieszkiwać rzeczywiście wskrzeszone szczebioczące jestestwo tej pary uśpionej na wieki.

Podziemie przyjmuje również inny pozór w blaskach słońca; nie mogę nasyć się widokiem tych grobowców, pełnych klejnotów i mozaik; każda cząsteczka marmuru błyszczy — jak mleczny dyament. W tej martwej powłoce rozbłyskuje przepych, jakby chcąc w dalszym ciągu odzwierciedlać słodki czar natury, i zwodniczą wspaniałość żywych, w tym ostatnim przytułku ciał wyschniętych: cisną się tam rozliczne lapis-lazuli, turkusy, kryształy górne, malachity, jaspisy... Tak, groby te są olbrzymiami klejnotami!

Chcę wejść na szczyt; przewodnik towarzyszy mi.

Po długim i ciężkim wspinaniu się, oczom moim objawiają się Indye miłosne. Natura przygotowuje na noc swe łożę z mgły... lekkie opary uno-



szą się nad drzewami i pałacami; w około mnie krążą papugi, tak zielone, jak gałęzie. Oddalają się niebieskie kruki, sępy nikną jak czarne punkty na horyzoncie; prześliczne ptaki śpiewające; niewinne skrzydlate owady, pozostają tylko przy mnie, a Taj staje się wielkiem białym gniazdem. Niebo nad moją głową przezroczyste jest jak sen poety; ale ciemnieje od strony ziemi, a szczególnie od strony miasta, jakby zasmuczone tem sąsiedztwem. Spokój woniącego ogrodu płynie aż ku mnie, ze świeżością tych wód przezroczych. Włoskie cyprysy ciągnące się wzdłuż dróg, płytami wyłożonych, podobne są nieruchomym wdowom; fontanny oplakują zniknięcie słońca; wdzięczność, płynie z ziemi ku niebu, przypomina westchnienie kochającej kobiety, zwracającej swą twarz do ukochanego. Ptaki śpiewają; są one orkiestrą miłości; gdyż miłość rozlana jest tu w atmosferze i wszędzie. Ten wspaniały krajobraz jest tylko buduaem, grobowiec jest łóżem... ale, o czary Indyj idealistycznych, kochankowie są trupami, z których nawet proch nie pozostał...

A jednak gdy wychodząc, raz jeszcze przechodzę tym ogrodem, zapach róż, lilii, pomarańcz, i rozmaitych subtelných, nieznaných substancyi, płynie za mną tak upajający, iż odwracam się niespokojny i oczarowany, jak gdyby na mej szyi spoczęły nagie ramiona, niewidzialnej kurtyzany.

### *Nieubłagana дума.*

Jadę znów do hotelu, rozmyślając o dziwnym losie tej Małżonki i Cesarza. Egoizm ich doznał ciężkiej próby. Pierwsza, „dusza pałacu“ nie widziała wykończonego mausoleum, gdzie teraz nicosć jej szczątków spoczywa. Drugi, cesarz ujrzał go w całej wspańności, na parę godzin przed śmiercią, oczami mrużącemi się ze starości, zniechęconemi nawet najwznioślejszemi widokami. Wówczas cała jego potęga — największa w całej Azji — rozwiała się jak dym, stał się więźniem własnego syna, niewolnikiem w swym własnym pałacu. O czem myślał Sha Jahan, siedząc na marmurowem krześle, w pałacu marmu-

rowym, widząc tam, ten grobowiec oślepiającego marmuru? Powiadają, że łzy napłynęły mu do oczu i zaczął szlochać.

Opowiadając mi wycieczkę do fortu Agra, oddałem cześć tym łzom, które miałem za szlachetne i spokojne. Ale pozytywna historia nie pozwala widzieć w tym wybuchu smutku takiej wielkości duszy.

Czy ten despota płakał wskutek bolesnego wspomnienia tej, która oczekiwiała go pod mozaiką i klejnotami, a która umarła, dając mu ósme dziecko? O nie! serce azyatów wysusza harem poligamiczny... Czy to wskrzeszony wspomnieniem żal za ubiegłymi młodemi latami i blaskiem serdecznych ukochań, zmiękczył odczucia starca? O nie! dusza zwycięzców tak jest twardą, jak ich miecze... Ale nie należy być zbyt surowym sędzią i dowodzić, że żadne z tych delikatnych uczuć nie stanowiło składowej części tej rozpaczki. Pewnem jest jednak, że gniew i duma obrażona wywołała te jęki. Gdyż tam, po drugiej stronie rzeki, wielki cesarz marzył o wzniesieniu grobowca większego jeszcze, grobowca „dla siebie

tylko“ a most srebrny rzucony na świętą Inumę, miał go połączyć z grobowcem małżonki... Sha Jahān płakał, że nie dość wspaniale będzie pogrzebanym. Co nam z tego co los daje? Pragniemy zawsze więcej i cierpimy nawet w pośród tryumfów naszych.

---

## Pompeja Indyjska.

(*Fattepur—Kipri*).

W heka.—Sanasi na drodze.—Miasto będące suggestyą fakira.—Olbrzymia kozetka do klejnotów.—Gród nienaruszony i martwy.

### *W heka.*

Wyjechałem rano w heka. Podobno dokonałem w ten sposób rzeczy nadzwyczajnej. Europejczyk pogardza heką, która mojem zdaniem, jest rzeczą najbardziej indyjską i najzabawniejszą na świecie. Przedewszystkiem, podróż jest nadzwyczaj tania.

Muszę płacić tylko trzy rupie (około pięciu franków) za czterdzieści cztery mile, zamiast funta i ćwierć. Przytem wózek ten daje ci niejakię pojęcie o życiu krajowców: wspominałem już o nim, mówiąc o Kalkucie; heka jest około metra szerokie i długie i na tem musi siedzieć woźnica i podróżni. Mówię podróżni, gdyż krajowcy często we czterech, pakują się do tego wąskiego wehikułu. Nie wiem doprawdy, jak sobie z tem radzą. Zdaje mi się że woźnica siedzi na końskim ogonie, a szczęśliwi klienci, przykucają na piętach jak małpy, na wąziutkim dywaniku, spuszczaającym się na koła; mały baldachim, podtrzymywany przez cztery kawałki drzewa i sznury, zmniejsza jeszcze ten wózek, rzucany tak, że fruwać się zdaje.

Piąta rano; jedynem światłem są gwiazdy; przez oszczędność mój woźnica nie zapalił swej prostej, marnej latarni, gdzie wije się knocik nasiąknięty spirytusem. Zupełnie podobny do małpy. Nie spotkałem istoty brudniejszej, ze świerzbem na całym ciele i ze stopami chwytajacemi jak ręce. Ale zręcznym jest tak, jak żaden europejski woźnica. Lecimy jak wi-

cher, po dość płaskiej drodze, obramowanej cudnymi drzewami, pokrytymi kwiatami, wydającymi zapach urozmaicony i nieustanny. Zatrzymujemy się kilka razy. Nie gniewam się bo tu mogę przynajmniej nogi wyprostować; pretekstem jest tu odpoczynek konia, a w gruncie rzeczy — indus chce wypalić fajkę ze swymi towarzyszami. Wyjmuje fajkę z gliny czerwonej, jaką oni tam posiadają, podobną do malutkiego naczynia na kwiaty. W otwór wyższy, szerszy, wkłada on trochę tego ciasta czarnego, tworzącego tytoń miejscowy; przykuca pod drzewem, przy ciepłym jeszcze popiele, w około którego zgrupowali się włościanie; podają mu kawałek drzewa tlejącego jeszcze, a on kładzie go na fajce. Rozmowa ogranicza się na opowiadaniu, ile się już przejechało, ile pozostaje i na ogólnych uwagach, dotyczących się mej osoby.

---

### *Sanyasi na drodze.*

Pierwsza stacya jest nieznaczącą, druga jeszcze mniej. Przy rodzaju

stajni nad brzegiem drogi, siedzi jakiś sanyasi, jeden z tych świętych Indyj, których u nas zamknięto by w domu waryatów. W Benares i Muttra stanowią oni legion; tworzą oni zwykłych pasorzytów świątyni.

Ten np. należy do najbardziej radykalnego rodzaju. Jest nagi, ażeby użyć określeń Musseta—powiem: „nagi jak mur kościelny, nagi jak przemowa akademicka“ co się nazywa nagim zupełnie, bez przepaski nawet. Włosy jego skutkiem słońca i braku grzebień porobiły się żółtymi sznurkami. Chudy, wstrętny, z błyszczącymi oczyma. Czarna jego skóra oblepiona popiołem. To znaczy, że wyrzekł się świata i stał się uczniem Sziwy.

Ogień jego na wpół zgaszony, wysyła mu do nozdrzy gęsty dym. Pilnują go drzemiące psy, rude, brzydkie, z pewnością parszywe i złe. Zbliżam się; psy warczą; rozpalone węgle jego oczu tkwią we mnie, z pod żółtych sznurów włosów, po twarzy rozrzuconych. Bada mnie wzrokiem, robi ruch palenia i błagania.

Rzucam mu dwa paissy (dwa miedziane su). Żelaznemi szczypcami, asceta bez podziękowania, starannie

wyjmuje je z popiołu, dokąd wpadły. Kładzie je na wzgórku z kamieni. Mój woźnica tłumaczy mi, że ten samotnik jest tak święty, iż nie mówi zupełnie. Raczy za ledwie gościem prosić, by dostarczono mu środków do życia. Dostaje jałmużnę od przechodniów i od poczciwego włościanina, właściciela obory, do której chroni się gdy deszcz pada, lub słońce zbyt dokucza. Nie wierzę już tym bajecznym żebrakom, którzy niegdyś, jak powiadają, nauczali Buddaizmu. Ten zresztą spędził z nimi tylko czas krótki i nie chciał przyswoić sobie ich bezużytecznego ascetyzmu.

Dziś, Indye są tak zwyrodniałe, że mamy tylko grymasy tych mistrzów Nirwany, tych profesorów najzupełniejszego ukorzenia się. Teraz, jedynym ich celem jest żyć — nic nie robiąc. Tłum wciąż ich otacza, gdyż naród ten jest przebiegłym, gdy chodzi o sprawy materyalne, ale staje się bardzo łatwowiernym, gdy religia w grę wchodzi. Tym sposobem zadawalają zawsze lenistwo i niedorzeczną, pustą dumę. Tem codziennem samobójstwem, zwierzęcością i rozpróżnioną pychą, wydać się mogą



mistycznym katolikom jakimiś kapłanami naszego Szatana, tego Sziwy wschodniego, uosobieniem tu na ziemi zawrotnego i hypnotycznego piekła. A właściwie oni dobrowolnie tępią swą samowiedzę i zdrowie.

Reszta drogi słodką się wydaje, w odżywczej świeżości jutrzeńki. Ale jakiś smutek roztacza się w powietrzu, głęboka, nie dająca się wykorzenić nędza tego ludu, nędza moralna, nędza fizyczna, bieda, upadek! Przyjęli swe nieszczęścia i toną w nich. W swych wozach zaprzężonych wołami, defilują powoli koło nas, z trudnością pomimo krzyków, usuwając się z drogi. Większość śpi. Jeden wlaź na byka, głowę zwiesił aż do pyska zwierzęcia, nogi i ręce tłuką się o boki jego. Włóścianie, zanim się udadzą do roboty, drżą cali nędzy, przed ogniem w pobliżu skleconych z błota chatek. Kobiety czerpiąc wodę ze studni, szerokiej jak taras, tworzą wspaniałą grupę, z podwójnymi dzbanami na głowach, w barwnych tkaninach, owijających ciała. Niedbale zwracają się, by ujrzeć cudzoziemca, niektóre zasuwiają na usta żółte chusty. Lenistwo wszędzie i zaw-

sze. Łatwo więc zrozumieć, że mistyczny żebrak, logiczny aż do końca, czczonym jest jak święty.

---

*Miasto będące suggestją fakira.*

Na moje przybycie do Fattepur-Kipri, czyha naturalnie chmara przewodników i utrzymujących „bengalows.“ Jeden z nich narzucił mi się, i pociągnął ze sobą. Dotknięty swierzbem. To potomek wielkich kapłanów. Kaszle straszliwie; otacza go atmosfera przesiąknięta zapachem zwiertzalych perfum i wstrętnym oddechem suchotników.

To człowiek—ruina, wiodący mnie po innych ruinach. Fattepur-Kipri, było miastem o świetnym i krótkim losie. Akbarowi zachciało się pięknej rezydencyi; więc na wzgórzu, pomiędzy dwoma wioskami buduje gród wspinały; następnie spostrzega, że woda jest niedobra i z fantazyą cesarza, lub wielkiej kurtyzany, odrzuca te pałace, jak się odrzuca złamany wachlarz! Zresztą wszystko jest dziwne w tej historyi, nad którą unosi się mistyfikacya. Z poza tej architektury kopuł

świętyń, wytwornych rzeźb, wyziera nadzwyczajna i szyderska dusza faki-  
ra, jak ręka pokazywacza maryone-  
tek.

Był persem, nazywał się Suhin Che-  
sti; mahometanizm jego, zabarwiony  
był magią. Mieszkał w jaskini i pro-  
wadził życie ascety, wywołujące jesz-  
cze tak silne wrażenie na lud indyj-  
ski. Wracając ze swej wycieczki, prze-  
ciw zbuntowanemu Uzbekom, cesarz  
rozbił namiot na skale między Fatte-  
pur a Kipri. Tawarzyszyła mu żona,  
księżniczka indyjska z rodziny Amber.  
Co zaszło między parą królewską, a  
pustelnikiem? Akbar zdaje się być pod  
urokiem świętego, który zdołał namó-  
wić go, by zbudował w sąsiedztwie ja-  
skini swój pałac. Piękna Rajput nie-  
mało przyczynić się musiała do za-  
ciągnięcia nici wiążącej tych dwóch  
króli Indyj, księcia samotności i księ-  
cia wojsk. Miała już dość tego wojo-  
wnika, który, jak mówi legenda, miał  
ramiona tak długie jak małpa; musia-  
ła pokochać tajemniczego człowieka,  
mówiącego jej o pozaświecie i stro-  
jącego się jak w purpurę, blaskami za-  
chodzącego słońca. Oboje zrozumieli  
się i przyłgnęli do siebie. Akbar roz-

paczał, że niema syna. Rajput dała mu bliźnięta, ale umarli w dzieciństwie. Akbara ogarnęły przesady, tak częste u sceptyków:

Radzi się fakira:

— Kiedy będę miał spadkobiercę?

Człowiek milczy, wstrząsa głową, jak gdyby mógł czytać w okultystycznych księgach Przeznaczenia.

— Dałbym wszystko na świecie, aby urodził się męski potomek z tej, którą kocham.

— Znak niebezpieczny—mówi fakir—grozi waszemu związkowi. Gwiazdy są nieubłagane.

— A!.. wielki święty, jesteś potężniejszym, niż gwiazdy!

— Prawda; tylko potęga moja potrzebuje, byście pozostali w jej promieniu, aby szatan bezpłodności i śmierci wygnanym został.

— Zbuduję tu miasto i w niem mieszkać będę.

Tak się stało. Agra została opuszczoną. Para królewska nie opuszczała już samotniska. Rajput ukochana. Akbara, po upływie dziewięciu miesięcy powiła syna, tak skutecznymi były ćwiczenia duchowe fakira. Syn ten nazywa się Sulim, jak asceta — ojciec

jego z ducha—i on później ukoronowany został pod imieniem Jahanga...

*Największa ze skrzynek na  
klejnoty.*

Przyrównano F'attepur-Kipri do Pompei. Pompeja bliższą jest nam sztuką, myślą, mniejszością swych gmachów. Miasto indyjskie jest większe, piękniejsze, silniejsze, bardziej zasmucające. To nie lawy wulkanu zachowały je; ono jest kreacją i ofiarą nerwozy cesarskiej i mistyfikacji świętego. W atmosferze pozostało trochę tego spleenu, co je zbudował, następnie opuścił.

Odległość od jednych wrot miasta do drugich, wynosi trzy mile. Tu wielkość ociera się o ładność.

„Birbuls-house“ jest arcydziełem wdzięku. Tam musiała mieszkać córka jakiegoś zdobywcy.

Dom ten dwupiętrowy, zbudowany cały z głazów; masywność materiału łączy się tu z drobiazgowością roboty. Zdawało by się, że jeden z tych chińskich rzemieślników, cudnie rzeźbiących kość słoniową, usiłował z kamie-

nia czerwonego wyciosać szkatułkę. Niema nigdzie drzewa. Przypomniałem sobie słowa Hugo: „Wszędzie wspaniałość zdumiewająca i wyrafinowana: gdyby to nie był najmniejszy z pałaców, stałby się największą kasetką do klejnotów.“ Czuje się wpływ artysty. Birbul, ojciec mieszkanki tego pałacu, był rzeczywiście uczonym, powiernikiem i doradcą wielkiego Akbara. Na nieszczęście chciał się zabawić w wojskowego i znalazł śmierć w ekspedycyi, którą źle zorganizował.

---

### *Gród nietknięty i martwy.*

Przedarłem się aż do ogrodu Khas-Mahal, aż do „Khwabgah“ uwiecznionego niegdyś łóżem wielkiego Akbara. Na progu tego cesarskiego sypialnego pokoju, sprofanowanego chwastami, zbrudzonego pyłem przebudowań, gorszym od pyłu ruin, czytam jeszcze sentencje perskie, zwrócone przez władcę do własnej wielkości:

„Odzwierny raju może się przejrzeć w posadzce twego apartamentu, a błoto twego podwórza może służyć ja-

ko maść do oczu niebiańskiej Hury się."

Stukając laską o kamienie, zbudziłem samotność i ciszę pałacu cesarzowej, zwanej Iodh-Bai i tych sal przyjęć, gdzie cisnęli się wielcy tego świata i lud: uśmiechnąłem się do Amuk Michanli, gdzie cesarz bawił się w ciuci-babkę ze swemi żonami, i przebyłem, by wypocząć i rozkoszować się ogólnym widokiem miasta—Puj Mahal, pięć pięter kolumnady, które zaczynając od pięćdziesięciu sześciu kolumn (każda w innym stylu) tracą za każdym wzniesieniem pewną ilość kolumn, tak że ostatnie piętro jest zwykłym kioskiem z czterech słupów złożonym. Zdala widziałem Hatli-Pol, podwoje słońców, gdzie ci lewiatani przedstawieni byli w pozach walki. Bigoterya muzułmańska okrutniejszą była niż czas dla tego arcydzieła olbrzymiej architektury. Aureng-Zeb, nie posiadający szerokiego umysłu ojcowskiego, z wielkiego nabożeństwa, potłukł głowy walecznych. Trochę wyżej wznosi się wieża siedmdziesięcio stopowa, Hissar Minar, najeżona kłami słońców, podobna do olbrzymiej maczugi...

Czyjaż imaginacya nie pracowałaby na widok tych suggestyjných ruin! Nikogo niema przy mnie; nawet mój przewodnik, którego opłaciłem, by mnie porzucił, usłuchał rozkazu. Jakiś czar płynie z tych rzeczy, które dotknięcie człowieka jakby zamagnetyzowało, i one na swoją rękę, stały się wywołaczami upiorów; ale melancholijna rzeczywistość przygniata wkrótce moje marzenia o starożytnym przepychu. Cały gród martwy rozpacza się u mych stóp, a te wsie smutniejsze jeszcze, niż gdyby były martwemi gdzie nędzne istoty ludzkie drzemają jak zwierzęta: przedemną Fattepur, mający jeden tylko gmach solidny — biuro policyjne, za mną — Kipri, doprowadzone do kilku z błota skleconych chałup. To rozpacz przyniesiona przez człowieka, w pośród tej najweselejszej natury, pod niebo wiecznie litujące się! Zrujnowane szańce tu i tam przecinają równinę; są jakby podartym pasem mumi. Hammam przetrwał ze swemi czarnemi kopułami. Ta bezmierna równina pociesza swą wiecznością, te opustoszałe tarasy, to słońce królewskie... Nasłuchuję... jakiś gwar dochodzi do mnie — to śmiechy



i śpiewy dzieci, nieświadomość będąca żywym kwiatem grobów.

## Grób małp i żółwi.

(Muttra).

Heroiczny myt Chryсны.—Małpy obywatele.—Rzeka żółwi.—Kamień hypnotyczny.

### *Heroiczny myt Chryсны.*

W chwili gdy wyjeżdżałem z Agra i płaciłem rachunki, rządca hotelu, zanglizowany indus, który pomimo swej cery bronzowej, usiłował przybierać manieri angielskie — rzucił mi nagle pytanie.

— Jedziesz pan zwiedzić Muttrę.

— Jadę do Jeypore—odparłem.

— Ależ jesteś pan zaledwie o czterdzieści mil od indyjskiego Betleem.

— Czyż jest ono tak ciekawe?

— It is a first class city (to miasto pierwszorzędne), oświadczył z dumą.

Zabawiło mnie to określenie, wzbudzające zachwyt w zwykłym podróżniku, ale dowiedziawszy się, że mogę

dojechać tam pociągiem, tak jak do Brindabam, Jerozolimy boga Chryсны, nie wahałem się dłużej, gdyż Apollon indyjski nieraz zjawiał się w marzeniach mistycznych mego wieku młodzieńczego. Słodko jest iść śladami bohaterów, w miejscu, gdzie przebywali, i oddychać, że tak powiem, aromatem ich dusz, patrząc na widoki, na które i oni patrzyli. W małym, unoszącym mnie pociągu myślę o dziwnym i niejasnym śladzie, jaki w umysłach ludzkich pozostawiło to legendowe bóstwo.

Czem jest Chryсны? Syntezą wspomnień heroiczych i dogmatów, zgromadzonych w około ciała niebieskiego słońca...

Pewnem jest prawie, że Chryсны, jakim go przedstawiają purany, jakim czczą bramini i lud—nie istniał wcale. Kult jego jest stosunkowo świeżym; to nie tylko bóg indyjski, ale bóstwo „induistyczne“ to znaczy, spóźniona kreacya teologii bramińskiej. Ta, po wchłonięciu buddyzmu i przy grożącej inwazyi nauki Koranu, po której nastął wpływ chrześcijanizmu, chciała targnąć imaginacyę ludu typem jednocześnie ludzkim i nadludzkim, na-

wskroś narodowym, łączącym w najwyższym stopniu zalety i wady rasy: kochliwy aż do namiętności, emfatyczny aż do szału, uroczy jak kobieta, lekkomyślny jak pierwsi aryjscy wojownicy, zażyły ze zwierzętami i innymi bogami, praktykujący szeroką moralność Buddy, którego zalety zewnętrzne zachowuje a odrzuca bierność nihilistyczną, zwycięzki jak Mahomet — rodzący się i umierający jak Mesyas.

Ciało jego „błękitne,“ na wzór nieba, skąd zeszedł, a imię jego „Chryсна“ znaczy etymologicznie: najwyższy wieczny działacz. Od starożytnego Apollina wziął miłość dla piękna i tańca, zamiłowanie rytmu; jak Herkules zwyciężał potwory; przypomina także naszego świętego Jerzego, tępicieła smoków.

Ale co go wielce wyróżnia na wieki, co czyni go postacią żywą, to jego niezmięczony erotyzm, wieczny pocałunek, wykwitający na jego wymownych wargach; spazm, który on wciela, to upojenie zarazem duchowe i cielesne, którego zapowiedź przygotowawczą daje nam Dionizyusz, z tajemnic helłeńskich.

Jak tylko przyjechałem do Muttra, naczelnik stacyi, dowiedziawszy się, że jestem francuzem, oznajmił mi, że miasto indusów posiada też i kościół katolicki.

— Mieszka tam nawet ksiądz francuzki—dodał.

Ta wiadomość tak zgadza się ze wspomnieniami kraju budzącemi się we mnie przy zetknięciu się z tą ziemią, gdzie urodził się Budda, że każe natychmiast wieźć się do probostwa tego.

Mój woźnica, sprytne dziecię, o uszach z olbrzymimi obręczami, o słodkich bardzo oczach w zbyt ciemnej twarzy, zrozumiał odrazu. Wystarczyło mu wymówione słowo „padze.“ „Padze“ w całych Indyach oznacza księdza. O tej godzinie kościół jest zamknięty.

Gmach przypomina normandzkie kościoły i niewiele się różni od świątyń protestanckich. Obok znajduje się „bengalow,“ w którym zamieszkuje proboszcz. Po długich oczekiwaniach łysy starzec i ugrzeczniiony, skromnie ubrany, w długi surdut pastora, sadya mnie w dużym pokoju, ozdobionym jedynie gipsową statua Matki Boskiej

i paru zniszczonymi fotelami, otaczającymi stół bez serwety. Na pierwsze wymówione słowa, zdziwienie roztaacza się na jego obliczu. Czyni widoczne wysiłki, by mnie zrozumieć. Nareszcie rozpoznaje francuza, mówiącego do niego ojczystym językiem. Ogarnia go radość dziecinna, prawie komiczna, ściska mnie wciąż za rękę, jąka się, wsadza wciąż słowa angielskie, wkońcu po dziesięciu minutach, mowa jego wyjaśnia się zupełnie:

— Wybacz, wybacz! mówi—od czterdziestu lat już nie mówiłem po francuzku!

Wyjaśnia mi, że osadzono go tu, w Muttra, dla tego, gdyż garnizon wojska składa się przeważnie z irlandczyków. Mówię mu o mieście, o świątyniach, o podaniu Chryсны... Nie wie co odpowiedzieć, uśmiecha się dyskretnie. Nie wie nic o religii autochtonów: nie zwiedzał nigdy dzielnic indyjskich, wegetuje jak starożytni styllici pustyni; ostatecznie zaniechał nawracania upartych azyatów, spełnia tylko funkcyę kapelana irlandzkiego. Indye go nie interesują, nie myśli o nich wcale żyje, nie widząc ich wcale. Bardzo jest

zadowolony, ale niema nic do powiedzenia.

Ręce jego drżą w mych dłoniach, gdy się z nim żegnam. Pomimo odosobnienia i zapomnienia, religia i rasa przemawia w nas i łączy nas. W jego zagastłych oczach błysnęło wzruszenie, drgnęła dusza przodków.

---

### *Małpy obywatele.*

Po raz pierwszy nocuję w Dak Bengalow; to zajazd wzniesiony przez rząd w miejscach, gdzie braknie indywidualnej inicjatywy do zbudowania hotelu. Melancholijne domostwo, podzielone na cztery pokoje, nierównej wielkości; ubieralnia, zgodnie z krajowym obyczajem, składa się z rodzaju basenu w ziemi wykopanego, ze ściekiem odprowadzającym wody; świeże naczynia, napełnione wodą, stoją gotowe do użytku.

Byłem o tyle szczęśliwym, że znalazłem jeden pokój wolny. Właściciel Dak-Bengalow oświadcza mi, że dłużej jak ośm dni pozostać w nim nie mogę. Takie są przepisy policyjne. Jeden podróżny wypędza drugiego.

Gościnność Dak-Bengalow jest tak krótką, jak skromną. Mury wzniesione przez indusów, kruszą się przy każdym dotknięciu. Z sufitów lecą ci na głowę w nocy kawałki gipsu, obserwane skutkiem gwałtownego biegu szczurów. Milczący służący, udający, że nigdy nic nie rozumieją, zdają się jakimiś bajecznymi istotami ręką tajemniczej opatrności na usługi zesłanemi!

Zaledwie wjechałem do Muttra, zrozumiałem, że jestem istotnie przeniesionym do miasta fantastycznego, niczem niepodobnego do tego, co dotąd widziałem. Co uderza przedewszystkiem, nawet w tym kraju tak gościnnym dla zwierząt, to pozory obywatelstwa jakie one sobie tu nadają. Jak w Jey-pore, są one upstrzone, mieszkańcy bowiem pragną tym sposobem powiększyć ich blask i piękność.

Mały są tu niezliczone, i te giętkie indywidua, wzrostem podobne do małych ludzi, tworzą ludność oryginalną, o malowanych udach. Chodzą po ulicach, zaabsorbowani jak kupcy, a gdy są chore, wyciągają ręce. blagalnem spojrzeniem, jak żebracy, wzywając liłości. Bawią się z dziećmi, więcej niż

one do małp podobnemi, a ileż to razy kłóca się jak bracia o kawałek ciasta, lub owoc skradziony! Zwykle zwierzę odnosi zwycięstwo. Małpa z krzykiem tryumfu ucieka w stronę balkonu lub chroni się na szczyt sąsiedniego drzewa. Są wszędzie małpy, gdzie są ludzie, ale nie zawsze są ludzie tam, gdzie są małpy... Nawet w mieszkaniach małpy są jak u siebie, grzechem byłoby uderzyć je. Są wciele niem boga Hammun, pierwszego sprzymierzeńca Ramy, który był pierwszym indusem: one są samym Hamman. \*)

Zapełniają tarasy, gdzie siedzą jak ludzie kosmaci; jedynie dachy muzułmanów są dla nich niegościnne: wyznawcy Proroka, wyrzekają się wszelkiej wspólności z tą ludnością złodziejską i kolecami ubierają swe balkony...

---

\*) W Ramajanie ten czworonożny bohater, syn Wiatru, pomaga wyzwolić Się, wierną małżonkę Kamy, z niewoli potwora Rawana w Lanka. Na pamiątkę usług przez przodka oddanych małpy są czezone, szczególnie przez wisznuistów.



Niektóre z tych czworonogich istot, oddają się staraniom około ciała, wyczesują głowę i plecy ruchami, zupełnie podobnemi do ludzkich. Ileż razy widziałem na werandzie śliczną dziewczynę czeszącą matkę, a od czasu do czasu, zapuszczającą palec w gęste włosy, by wyszukiwać w nich owady! Zadawałem sobie wówczas pytanie, kto kogo naśladuje, zwierzę czy człowiek?

Swoboda, jak mówią, robi narody większymi! ona również podnosi piękność zwierząt i pozbawia ich ponurości. Nie słyszałem tu nigdy nieprzyjemnego wycia małp, nie widziałem, by która groziła lub gryzła. Nie przybierają nigdy tej miny zalęknionej i złej, jaką nadaje im Europa—sądząc, że je oswaja.

Jedne lubują się w ocieężałych pozach indusów, inne żywsze, są bardziej przedsiębiorcze; a ich biegające oczy śmiech wzbudzają przy porównaniu z ponuremi żrenicami, wyzierającemi z pod ciężkich powiek ludzkich.

## *Rzeka żółwi.*

W żadnem innem mieście, nawet w Benares, nie czułem tak dobrze życia okultystycznego rzeki, zlewającego się z ruchliwością grodu. Gdy Ganges ma coś w sobie szacunku godnego, zgasłego, starego, Inuma jest strojna urocza, żywotna. Piszę „żywotna,“ należy rozumieć „śmiertelna“ również.

Specyalna febra, lżejsza zapewne od tych strasznych miazmatów rzeki Sziry, ale przenikająca, strach wzbudzająca, płodna w te niepokoje miłosne i mistyczne, będące przywilejem wyznawców Chryсны, podnosi się z tych zamulonych wód, gdzie roją się olbrzymie gady.

Ulice są czyste, kokieteryjne, wyłożone płytami, jak w Jeypore; bazary szerokie, przewietrzane; kurtyzany wychylają się z balkonów wytwornych, koronkowych, błyszczą od klejnotów i złota, które skórze ich brązowej nadaje żółte refleksy. Czuć, że im tu lepiej, niż gdzieindziej, pod protekcją Chryсны, który jest sam tańcem, śpiewem i pieszczotą.

Naraz odezwały się ze wszystkich stron dzwoneczki, drząc dźwiękiem jasnym, ostrym, tak mało religijnym, ale tak hipnotycznym.

Odgłos bębnowi odpowiada.

Kapłani o głosie skowyczącym jak głos szakali, czytają, śpiewając sentencje wypisane na schodach, które fale rzeki zalewają. Zatrzymują się łodzie; zebu o rogach czerwonych ryczy; ptaszki krążą i świergoczą. Nagie kobiety, wychodzące z kąpieli, zachowujące na swych klejnotach łyzy Inumy, składają na marmurowych stopniach naczynia miedziane i biją pokłony.

Znika spokój rzeki. Woda ożywia się. Wzdłuż „ghâts“ podnoszą się, wysuwając szare głowy z zielonej skorupy, majestatyczne żółwie, królowie mułu. Przychodzą po żywność, codziennie dostarczaną im przez kapłanów.

— One są łagodne i błogosławione— mówi mój przewodnik.— To są dobrzy bracia niebezpiecznych aligatorów i krokodyli, zbierających się tam, na tej żółtawej wysepce!

Jednym rzutem oka obejmuje nieprzerwaną linię indyjskich świątyń,

których schody oblewa Inuma, a zielone gady wolno po nich spacerują.

Co za różnica między Muttra a Benares! Na brzegach Gangesu była agonia ciemnych pałaców i groźnych pagód. Tu życie prawie zwierzęce i radosne.

W przeciwieństwie do Sziwy brudnego ponurego, zapowiada się Wisznu, lubujący się w egzystencji, uśmiechnięty, czysty i jasny.

Wszędzie gdzie mój wzrok spoczywa, na gzymsach, kapitelach, freskach galeryi, widzę Wisznu, z jego czterema rękami trzymającymi dobroczynne atrybuty.

Ten bóg zachowawca wzywa do siebie kupców, ludzi tego świata, istoty, radości oddane. Gdy w Benares czułem przekleństwo Sziwy, niechętnego cudzoziemcom; tu czuję błogosławiące jego promienie, gniewu pozbawione; mały zdają się witać uprzejmie, wszystko dobrze jest usposobione, drżąca muzyka pagód, a nawet te łakome żółwie, synowie spokojnej rzeki.

Chociaż bóg trwogi nie wzbudza, kapłani pozostają fanatykami. Pomimo ezoterycznych mentramów których mnie nauczył jeden wtajemniczony,

długo nie chcą mnie wpuścić na podwórze wewnętrzne, którego progu strzeżą groźni zakrystyianie i kilka sentencyi z Wed wypisanych na kamieniu.

Na środku podwórza drzewo „pipala“ o koronkowem ulścieniu, otoczone jest wieńcem kobiet bramińskich, nabożnie polewających je wodą Imuny, zebraną w miedziane naczynia, w nadziei, że wdzięczne drzewo wynagrodzi je płodnością, za tę religijną ofiarę. Na nieszczęście, sprzedajności i symonii nie zbraknie nigdy w świątyniach indyjskich. W rogu podwórza bajaderka pokazuje mi bez ironii — gdyż uważa za rzecz naturalną płacenie za łaski boga Chryсны, drzewo martwe, sztuczne, jakiś mebel nadzwyczajny, przyjmujący błyszczący kształt drzewa, odartego z kory, którego korzenie wyrzeźbione są w kształt groźnych kobra. To drzewo wiedzy i rozmyślenia, jest poprostu szkatułką na pieniądze. Gałęzie są usiane otworami, w które wierni rzucają swe ofiary.

Rzucam kilka rupij. Odwracam się; gdzież bajaderka? Dusza indyjska łatwo przechodzi z uczuć serdecznych do okropności! Istota, do miłości prze-

znaczona, pociągnięta się czuła do wizerunku Kali, niewiem jakim sposobem wprowadzonej tu, do tego przybytku piękna i delikatności. Po tej larwie piekielnej matki chodzi tygrys, którego paszcza ocieka krwią... Bajaderka rzuciła się na kolana, jakby miłość miała oddać cześć zbrodni. Aby uzupełnić tę niepokojącą wizję, po nad groźnem bożyszczem, dziecię dziesięcioletnie, poważne i już w ekstazie, siadło, by studyować rękopisy Wedy.

W tym widoku streszcza się cały ten dziwny kraj, złożony z łagodności, słodyczy, śmieszności, wiedzy egzaltowanej i dzikiej nienawiści, ta piękna kobieta pochylona przed brzydota, i ten mały, ukryty za potworem, śpiewający melodyjne ustępy ohydny bogom..

---

### *Kamień hypnotyczny.*

W nocy włóczę się po głównej ulicy bazaru, oświetlonej kopcącemi lampami, wiszącymi na gzymsach godnych pałaców. Przechodzę mimo portyków, gdzie podziwiam freski przedstawiają-

ce bóstwo—małą, dzielnego Hammun, również protektora Muttry.

Ukazuje się on w profilu, w ryzniku wojennym, trzymając w skurczonych rękach broń z epoki, kamiennej. Jego hieratyczny pysk rozjaśnia spodłą fizyonomię tych antropomorfów, teraz uspiionych na tarasach, lub pod liśćmi. Kilku ogłupiałych kapłanów przykucnęło przed tym wizerunkiem, badając tajemnice wykrzywającego się boga, przyspieszając za jego przykładem upadek swego typu, zbliżając się do tej neuropatycznej zwierzęcości.

Gubię się w innych ciemnych przejściach, gdzie błyszczą w głębiach nisz bałwany straszne i wspaniałe, z przepychem ubrane.

Przed bajeczną małżonką Chryсны, zatrzymuję się chwilę. Otwiera oczy wielkie jak planety, nieruchome i straszne jak źrenice lunatyków. To tylko kamień źle ociosany i brutalnie malowany; ale tym razem artysta w przewrotnej naiwności doskonale wyegzaltował typ szalu. W nadziei otrzymania obola, kapłan ujrzawszy mnie, podchodzi ku niej; na moją cześć stroi ją w świecidła, rozbiera i ubiera kil-

kakrotnie. Wspaniałe kawałki tkanin różnaitością kolorów fantastycznie przekształcają wygląd twarzy i ciała. Za każdą suknią wydaje się, że nowa bogini się ukazała.

W ciemnej uliczce, gdzie roją się indusi jak czarne robaki, widok ten jest nadzwyczajny. Zdaje mi się, że widzę indyjską Loe Fuller, która piekielną karą w kamień zmieniona, zła i śmieszna, dalej prowadzi swe rzeźmiostło.

---

## Delhi.

Koniec roku 1902 i początek 1903 pozostawił ślad głęboki w imaginacji azyatów. Delhi, stolica Indyj starożytnych i nowożytnych, widziała wskrzeszoną w całej wspaniałości pompę radźów indyjskich i muzułmańskich omra. Anglia na własną cześć, kosztem tego ludu, urządziła uroczystość nieporównaną.

Po nieszczęsnej wojnie Transwalskiej, aby podnieść urok Wielkiej Brytanii, ogłoszono cesarzem Indyi — Edwarda VII-go, z takim rozgłosem i przepychem, jakiego w podobnych



okolicznościach w 1877 nie znała królowa Wiktorya. W tym celu zbudowano nowe Delhi, miasto o stu tysiącach namiotów, trwające miesiąc tylko, ale było ono całym światem Azyi, z jej bogactwami, bronią, kostyumami, klejnotami, wielbładami i t. d.

Przeszło trzysta tysięcy ludzi, zbiegło się z rozmaitych stron świata, aby widzieć tę pokojową demonstracyę, nazwaną Durbar. Książę i księżna Connaught, wice-król lord Curzon i lady Curzon, zasiedli na tronach Tamerlana i Akbara, w pośród tego czarodziejskiego otoczenia.

Przez piętnaście dni, od przyjazdu do wyjazdu lorda Curzon, Delhi miało wygląd fantastyczny. Ten stary gród państwa, który mongołowie wybrali na stolicę, liczył niegdyś przeszło dwa miliony mieszkańców. Doprowadzony teraz do sześćdziesięciu tysięcy, był zbyt małym, aby mógł pomieścić swiętę wice-króla i księcia Connaught, wojsko krajowe i angielskie, służbę i dwór radzów.

Olbrzymi obóz rozłożono na polu; zajmował on pięćdziesiąt mil kwadratowych; dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi mieszkało pod stu tysiącami na-

miotów; potężne elektryczne lampy wznosiły się nad tą czarodziejską, tymczasową instalacją. Same iluminacje kosztowały czterdzieści pięć tysięcy funtów szterlingów; dla dowozu żywności puszczono w ruch dwa tysiące wielbłądów i cztery tysiące wozów wołami zaprzężonych.

Najbardziej imponującym dziełem, dokonanym z okazji Durbaru, było zbudowanie obszernego „audytoryum“ które służyło do ceremonii koronacyjnej. Ale w największym blasku ukazał się przepych azyatycki w obozie wodzów krajowców. Przepyszne tkaniny, kosztowne kobierce, klejnoty wystawione, stajnie pełne słońi, cały zbytek starożytnych Indyj, czarował oczy przybyłych.

Uroczystości trwały do 10-go stycznia; Anglia dowiodła, że chce olśnić wspaniałością te ludy, zmęczone zbyt dawną cywilizacją, podziwiające tylko siłę i zbytek jak dziecienniaki starcy. I rzeczywiście nigdy, nawet za czasów wielkiego Akbara, nie widziało takich bogactw i broni. W 1877, podczas uroczystości koronacyjnych Wiktoryi, lord Sylton, zarządzający te ceremonie, doszedł zaledwie do poło-

wy tej wspaniałości. Zrobiono wszystko, aby przykład Transwaalu nie był zaraźliwym.

Jakże ten uroczy lud Indyj musiał się cieszyć naiwnie, nieopatrznie! jak podziwiał swych władców o wysokim wzroście i bladej twarzy! jak te uroczystości podniosły rzeczywiście urok Anglii! A nie zapytał się on, ofiara hipnotycznego olśnienia, on, którego dżuma i głód dziesiątkuje, kto zapłaci rachunek za te rozkosze..

\*

Na dziś dość. Potrzebuję powietrza i wsi. Woźnica wywozi mnie z nowego Delhi, zdala od obozowisk angielskich, ku olbrzymim wyschłym polom, na których niejedna osada zagrzebaną została. Wieczór zachodzi. Przewodnik przygląda mi się z pod oka, wzrokiem zdradzającym złośliwość i żądzę. Nie gniewam się na niego, płacę. Uszczęśliwiony, prosi o pozwolenie zatrzymania się, gdyż czuje pragnienie.

Przy biednej świątyni, opuszczonej przez kapłanów i wiernych, starzec sprzedaje napój owocowy, w którym

rozpuszczono straszna, a doskonałą konfiturę z „cannabis indica”,

— Wy, europejczycy, pijecie whisky, to znaczy, alkohol szkodliwy i nieczysty; my raczymy się esencją kwiatów i subtelną duszą ziemi.

Następnie, idealizm ustąpił miejsca skąpstwu.

— Wasza whisky kosztuje pół rupii, a szklanka naszego napoju zaledwie pas (grosz) wynosi.

Wypił i rozbił gliniane naczynie, gdyż było już ono skalane dla każdego indyanina innej kasty. Gdy podniósł oczy, czułem, że unosi się ponad pospolitą rzeczywistością, że popadł w marzenie.

\*

Delhi było, zniknęło i znów zostało odbudowanem. Położone na brzegach Inumy, w punkcie zbiegania się dróg handlowych. Radiputany, równin Afganistanu i środkowej Azji, stało się łakomą zdobyczą dla wszystkich zdobywców.

Mohammed, afgańczyk, zdobył je w 1193 r. Tamerlan, mongoł, splądrował w dwa wieki później; Nadir—Szah,

pers, skradł w 1739 sławny „tron paw-  
wi“ który w XVII w. Tavernier, po-  
dróżnik francuzki (musiał się znać,  
będąc złotnikiem) oceniał na 150 mi-  
lionów franków. Ahmed-Shah-Durani,  
inny afgańczyk, zajął miasto w 1756,  
w trzy lata później maraci tam się  
osiedlili. Od nich to odebrał Delhi  
generał Lake w 1803, aby zrobić zeń  
miasto anglo-indyjskie, którego wład-  
ca krajowiec był odtąd tylko nomi-  
nalnym i zwykłym pensyonarzem Wiel-  
kiej Brytanii...

Czy koniec już tym zgonom i wskrze-  
szeniom się Delhi? Nikt tego powie-  
dzieć nie może.

Delhi składa się z dziewięciu miast  
a jego ruiny, rozłożone na przestrze-  
ni czterdziesto pięć milowej, są nie-  
porównaną kartą historyczną, tu i o-  
wdzie pokreśloną przez filozofa, wy-  
kazującego marność chwały świata  
tego.

W XVII w. było ono już tylko gó-  
rą kamieni, porośłą chwastem, po  
której przechadzały się niebieskie pa-  
wie, gdy Jahan, cesarz mongolski,  
zniechęcony do Agra, od czasu śmier-  
ci swej ulubienicy, przyszedł zbudow-  
wać nowe Delhi, Jahababad, blisko

rzeki Inumy, wznosił meczet, pałac i fort zaliczone do najpiękniejszych gmachów świata.

Ale pierwszym obowiązkiem podróżnika zamieszkującego miasto jeszcze świeższe (obozowisko angielskie) oddalone od miasta krajowców, jest udać się do starożytnego Delhi, by podziwiać cuda, do Ketub-Minar, do kolumny spiżowej i starego meczetu. Droga prowadząca do tych minionych wspańiałości jest, jak pisze Andrzej Chevillon, „drogą appijską“ Azyi, tak jest zasłaną wspomnieniami i grobami.

\*

Ketub, aż do zbudowania wieży Eiffel, była najwyższą wieżą na świecie. Położona przynajmniej o dwanaście mil od Jahanabad, ma ośmdziesiąt metrów wysokości, siedmnaście metrów szerokości u podstawy i trzy metry u szczytu. Pierwsze trzy piętra zbudowano z kamienia czerwonego, a najwyższe z błyszczącego marmuru. Balkony i balustrady oznaczają piętra. Prostopadłe linie rowków otoczone siecią rysunków i napisów, nadają delikatność i wytworność temu olbrzy-

miemu minaretowi, o podstawie czerwonej, a białej koronie. I marzy się o wieży Babel wykończonych.

Ze szczytu, dokąd wszedłem krętymi schodami, rozciąga się widok na milion akrów. Tam rozrzucone są resztki cywilizacji wedyckiej, bramińskiej, buddyjskiej, mahometańskiej. Tam płakać może i rozpamiętywać arya, pers, turek, afgan, mongol, indus... Legenda jest tu rzeczywistością, obok dziejów nader mglistych. Miasto Indry-Indrapat przenosi mnie w przedhistoryczne czasy Mahabharaty, o dziesiątki tysięcy lat przed naszą erą;—sąsiednie Tughlak-abad, miasto „cyklopów“ istnieje od pięciu wieków...

Wybrałem się na wycieczkę z młodym amerykańczakiem, spotkanym w hotelu. Ma zaledwie lat ośmnaście; co tylko skończył nauki; — ojciec jego notaryusz, wysłał go z New Yorku, z domu rodzinnego; oddając mu portfel z 6.000 dolarów, oświadczył, że przez rok nie chce go widzieć.

— Objedziesz świat w około—dodał, żyjąc oszczędnie, z komfortem, i wrócisz do mnie, z jasno wyrobionem pojęciem, jakiemu fachowi chcesz się

poświęcić w przyszłości! Ten młody jankes szukający powołania, mówi z łatwością trzema językami i wozi ze sobą dziwne kufry, które podziwiałem w jego apartamencie. Są długie, ale dość płaskie, z licznymi przegródkami; dają się umieszczać wszędzie, pod ławkami wagonów, w zakątkach sleepingów lub kajut.

Takie są niespodzianki podróży i gwałtowne przeciwieństwa stworzone przez przypadek. Te okazy, starsze niż historia, oglądałem w towarzystwie tego dzieciaka. Gdy w marzeniach bujam nad potwornie starożytnymi Delhi, i myślą wcielam się w rozmaitych obywateli tych grodów zniesionych, zewnętrzna moja osobowość wysłuchuje podziękowań grzecznego new-Jorczyka za pyszną myśl zabrania go na wspólną wycieczkę, gdyż, dodaje: „mój ojciec kontent byłby, widząc, że robię oszczędności na przewodniku, powozie, restauracji; wszystkie te koszta podzielimy między sobą, a zresztą, we dwóch łatwiej obronić się można tym napastującym żebrakom“. Kiwam głową przez grzeczność.



Ze szczytu Ketub ujrzałem znikomość państw i ras, religij minionych i przyszłych cywilizacyj. Zrobiłem przypuszczenie, że kiedyś — może dopiero za dwadzieścia wieków, cudzoziemcy ze szczytu wieży Eiffel obejmą wzrokiem zniszczone powtarzającymi się najściami Paryże starożytne i nowożytne.

Na nieszczęście! gmachy nasze są tak wątłe, że marzenie to zupełnie jest niepewne... Może Ketub wznosić się będzie jeszcze; ale wieża Eiffel, na krótki czas zbudowana, zniknie zapewne!

Nie zatrzymujemy się wcale w cieńnię kolumn, otaczających prześliczne grobowce; zbyt często spotykają się w Indjach te ementarzyska minionego przepychu; obok zaraz widzimy „słup spiżowy“ i meczet Ketub, którego Minar był istotnie olbrzymim minaretem. Według nadpisu, datującego od pięćdziesięciu wieków, „słup spiżowy“ jest: „ramieniem chwały Rajha Dhewa, który zwyciężył swych sąsiadów i zagarnął niepodzielną władzę nad całą ziemią!“

Wznosi się niewzruszony, pomimo

swej starości. Przewodnicy wyjaśniają mi jego legendę.

Popularna przepowiednia utrzymywała, że gdyby słup zadrżał, runęło by całe państwo. Panujący wówczas w Delhi książę kazał kopać na około. „Ramie chwały“ drgnęło i krwawić zaczęło. Czerwona wilgoć wystąpiła z ziemi. Hordy południa, wiedzione przez sławnego Kutb-Ed-Din, zamordowały nieopatrznego radcę, który był ostatnim ze swej dynastyi i założyli nową, ale los jej nie był szczęśliwszym.

Awanturnik turecki i jego rasa wzniesli sławną wieżę Ketub i ten meczet, leżący w pobliżu słupa spiżowego. Zbudowany niegdyś z ruin, dziś rozpadł się w ruiny. Trzykrotna kolumnada, jeszcze istniejąca, jest wspaniale niedorzeczną. Była zbudowana z kawałków starych słupów, resztek świątyń buddystycznych i wedyckich; praca cierpliwa, skomplikowana, kłóci się z prostokątnymi galerjami, z liniami geometrycznemi sztuki muzułmańskiej. Można tam jeszcze odróżnić słonie, małpy, procesye królów, nadzwyczajne postacie bogów, które młot obrazoborców, ani żab cza-

su, najgorszego niszczyciela, nie zdołał zniweczyć...

\*

Wracając do Jahanabad, nowego miasta, spotykam mauzoleum cesarza Humayona, który, wyprzedziwszy o pół wieku Taja, zapewne wywarł swój wpływ na architekturę. Teraz w czasie jarmarków i uroczystości religijnych, schodzą się tam mieszkańcy Delhi i okolic, by jeść owoce krajowe i pić wonne napoje. Ten szlachetny monument jest pamiątką chwały indyjskiej i odwetu angielskiego. Istotnie jeżeli ojciec wielkiego Akbara, Humayon, przypomina jeszcze krajowcom dumę i sztukę mongolską, marmurem i purpurowym kamieniem swego grobowca, oficer angielski, major Hodgson, zgłuszył w fali krwi ostatni pomruk strasznego buntu spahisów w Delhi.

Działo się to 23-go Września 1857 roku; Delhi zostało odebrane mongolom i ostatni cesarz wzięty do niewoli. Syn jego i dwaj kuzyni skryli się z garstką zbuntowanych w mauzoleum przodka. Hodgson z kilku tylko żołnierzami odkrył ich i nadrabiając odwagę, wezwał do poddania się.

Zdumieni taką odwagą, usłuchali wezwania i wsiedli na wóz otoczony strażą majora. Ale na drodze do Delhi ludność coraz liczniejsza grozić zaczęła, chcąc odbić wziętych do niewoli. Wówczas Hodgson nie wahał się i wystrzałami z rewolweru zabił trzech królewskich więźniów i ciała ich rzucił tłumowi, który, przerażony tak śmiałym czynem, rozstąpił się drżący, zamiast wymordować tych kilku ludzi, bezsilnych wobec tak wielkiej przewagi liczebnej nieprzyjaciela.

\*

Udałem się na grób cesarza w dzień świąteczny; usłużny przewodnik stał się prawdziwym ojcem rodziny i wraz z nią kazał się zawieźć na tę uroczystość.

Najstarszy syn jego, to laleczka wymalowana, pewna siebie. Tak jest przekonany o swem wielkiem znaczeniu, że pogardliwie zachowuje milczenie, od czasu do czasu tylko wydaje ojeu krótkie rozkazy. Ten malec pięcioletni ma dumę królewską.

W rodzinie indyjskiej dziecko bardzo prędko staje się panem, dlatego że jest najwątlesze, najmilsze, a

szczególniej, zgodnie z widzeniami religijnymi—najdroższe. Kult dziecka nie tyle natura rozwinęła ile powolny wpływ dogmatów i praw. Według Manu, dziecko jest „odkupicielem”.

Dziecię męskie, rozumie się; ojciec zbawionym jest przez syna, który składa „ofiary” cieniom jego i tym sposobem otwiera mu niebo po śmierci; kto niema syna, jest potępionym, chyba, że jest jakimś yoghi, mnichem, czy ascetą. To też jakim staraniem otcza się tę ukochaną istotę, wzamian za życie dającą nieśmiertelność!..

Mój towarzysz podróży patrzy tylko na to dziecko, którego czapeczka jest ze złota utkaną. Ojciec włożył mu w uszy, na szyję, drogie breloki, obręcze, fetysze, bransolety. Pomalował mu paznokcie, kołą powiększył i tak duże oczy; za uszko wsunął kwiat, jaśminem i szafranem natarł pulchne ciało; policzki jak usta są purpurowe. Skąd ten łowca rupij, nabrał tych rozmaitych rzeczy?

Grobowiec Humayona, wszystkie jego pawilony, tarasy, zakątki, wyłożone kamiennymi płytami, obszerne sale, wypełnione ludem łagodnym, zabawionym. Niema wybuchów śmiechu

lub krzyku, słyhać tylko brzęczenie jak w ulu. Ilu przekupniów owoców i ciast! Nie mogę zdecydować się na pokosztowanie tego, czuję obrzydzenie. Zbyt wiele słońca, kurzu, wszystko to ckliwe. W tym kraju, pełnym słońca, miałoby się prawo oczekiwać cudnych kwiatów i owoców, ale zbyt wielkie ciepło szkodzi ogrodom, olbrzymie róże nie wydają żadnego zapachu; owoce o kształtach dziwacznych i smakowitym wyglądzie są wodniste i nieznośnie ciepłe. Wilgoć lepka zalewa cieniste miejsca, gdzie rozłożył się lud na spoczynek; wszędzie odpadki czegoś, brud małych dzieci, które oddały przyjęty posiłek i depczą po nim.

Ojciec, zjadając wstrętne słodycze, chwali nieustannie swego syna.

Zaręczony już—Sab; astrologia wskazała nam jego żonę między córeczkami rodziny, należącej do naszej kasty i wymieniliśmy z ojcem jej prezenty. Jak on ładnie wyglądał, gdy siedział na krzeselku ze swą narzeczoną i obnoszony był w tryumfie po naszym ogrodzie. Spójrz... on ma w szkaple-rzu na piersiach—pył z nóg świętego.

\*

Przypominam sobie jak we śnie po-  
byt mój przed dwoma laty w Delhi.  
Widzę pałace i „fort“ cuda wspania-  
łych rozkoszy, wojen romantycznych,  
gdzie 1 go stycznia 1903 r. wice-król  
wydał bal. Za temi olbrzymiemi mu-  
rami, z głazów czerwonych, nagroma-  
dzonych, rzekłbyś, ręką Tytanów, ofi-  
cerowie i urzędnicy angielscy walco-  
wali ze swemi żonami o ruchach wy-  
twornych i sztywnych postaciach—tam  
gdzie wojownicy mongolscy przecha-  
dzali się w zbrojach rycerskich, gdzie  
powiewały miękie tkaniny, usiane dro-  
giemi kamieniami, świetnych dwora-  
ków. Wcale nie hieratyczne bufety  
wspierały się o cudne marmurowe  
ściany, inkrustowane drogiemi kamie-  
niami.

Jedna lady Curzon harmonizowała  
z tą bajeczną przeszłością; piękna pa-  
ni ustroiła się w suknię złotem hafto-  
waną; wyobrażała ona pawia z roz-  
piętym ogonem, ozdobę fantastyczne-  
go tronu Mongołów. Dziwny los pa-  
miątek! Dziecię młodej Ameryki od-  
niosło tryumf w starożytnym pałacu;  
nowożytna jej suknia miała zachować

odblask wspaniałej minionej przeszłości...

Myślą odbywam znów przechadzkę po tych niezliczonych pokojach... Te hale podobne są do otwartych olbrzymich szkatułek. Wyrzynania, inkrustacje drogiemi kamieniami, wydobytemi ze wszystkich kopalni Azyi; kwiaty i ptaki z lapis lazuli, agatu i perłowej masy, wsadzone w najczystszy marmur rękami architektów o imaginyacji poetyckiej. Te słupy wznoszą się jak potężne i urocze rośliny sztuczne, sufity łagodniej świecą, niż sklepienie niebios w noc letnią; zdawało mi się, że jestem przeniesiony w krainę Tysiąca i Jednej nocy, upięksozonej dumą arabską, w połączeniu z przepychem indyjskim.

Wartość całego Jahanabad stanowi fort i pałac. Kosztowało to dwadzieścia lat pracy i mnóstwo pieniędzy. Mur tytaniczny z olbrzymimi wieżami otoczony fosami, chroni jak powiedzialem te cuda sztuki marmurowej. Wchodzię drzwiami Lahory; masywność ich zdobią kopuły, łuki, ze złotemi na nich strzałami. Na nieszczęście, zaraz następuje rozczarowanie. Tam, gdzie zamieszkiwała lilia i lotus z twardego



kamienia, zjawiły się koszary i magazyny intendentury. Te cuda zbudowane przez muzułmanów, zepsuli Anglicy, wprowadzając tu Europę. Galeria orkiestry, dwie sale przyjęć, Moti Musjid (meczet perła) stosunkowo dobrze zachowane i możemy odtworzyć przy pomocy tych imponujących resztek przeszłość fantastyczną.

Za portykiem z głazów czerwonych, oślepia białość marmurów. Najprzód wchodzę do „galeryi muzykantów“ wielkiej dwupiętrowej budowli, z tarasami i arkadami. Później przenikam do Dewan-i-Am. Wsparta o mur estrada, ze śnieżnego marmuru, podtrzymuje tron króla-sędziego, również z marmuru ze słupami i baldachimem. Jakaż śliczna kolumnada rzeźbiona i złocena, ozdobiona marmurami balkonami i kioskami, delikatnymi jak koronka, ciągnie się w stronę Inumy! Na bardzo zniszczonym suficie widzę jeszcze subtelne złote i srebrne filigrany, wykonane przez złotników Delhi.

W okazach, które się tu widzi, należy podziwiać nie materyał, lecz wykonanie. Jaka mozaika ten tron otacza! Co za wspaniałe inkrusta, przed-

stawiające ptaki, kwiaty, owoce, a wszystko to są oszlifowane drogie kamienie! Istotnie czarodziejski pałac, gdzie rozkosz i siła tworzą jedność!

Sala przyjęć prywatnych (Dewau-i-Khas) jeszcze jest piękniejszą. Wystawcie sobie podłużną kolumnadę z czworokątnym pawillonem, z arkadami i kopułami, skąd okno daje widok na Inumę! Słońce skrzy się nad tem wszystkim, podnosi bogate i delikatne łuny tych łuków złoconych, wielkiego, tego całego, skamieniałego ogrodu, to różowego, to blado-zielonego, to delikatnej niebieskiej barwy. „Tron Pawi“ stał tam niegdyś a chociaż znikł, zasługuje na opis, jaki pozostał dzięki świadectwu francuskiego podróżnika Tavernier, złotnika z fachu, i miniatur, które u niego dokonane były. Był zbyt drogim, aby mógł być uszanowanym u ludzi, gdzie kradzież jest głównym obowiązkiem silnych. Ten olbrzymi klejnot zabrał Nadir-Szach do Persyi; w kilka lat później mahraci skradli co mogli, co się pozostało, posadzkę ze srebra ukutą.

„Tron Pawi“ taką otrzymał nazwę dlatego, że na tylnej jego poręczy umieszczono dwa pawie z rozło-

żonemi ogonami, tak inkrustowanemi szafirami, rubinami, szmaragdami, perłami i innemi drogiemi kamieniami, iż zdawało się, że te mieniające się pióra należą do żywych ptaków. Ciała ich zrobione były ze złota pokrytego emalią, a na szyjach wisiały olbrzymie rubiny z fantastyczną perłą. Tron ze złota masywnego, usiany był rubinami, szmaragdami, dyamentami, długości miał trzy metry, a metr i trzydzieści pięć ctm. szerokości. Nad nim wznosił się baldachim złoty, w górze dyamentami nabity, frendzle z drogich kamieni zrobione; podtrzymujące go słupy w liczbie dwunastu, były najdroższą częścią całości, gdyż wysadzone były kamieniami bajecznej ceny.

Między dwoma pawiami siedziała papuga naturalnej wielkości, wyrzeźbiona z jednego szmaragdu. Z każdej strony tronu, dla usymbolizowania królewskości, znajdowała się parasolka z czerwonego aksamitu haftowanego perłami. Rączki przeszło dwa metry wysokie, z masywnego złota, sadzone brylantami. Ten mebel zbyt kowny, aż do przesady — oceniony na sześć milionów funtów sterlingów — wznosił się na posadzce ze srebra. Za-

czął go Tamerlan, a skończył Jahan. Nadzwyczajny błysk klejnotów musiał hipnotyzować ten lud przedajny i chciwy, a serca dworaków pozostawały pod wpływem czaru, płynącego z tego przepychu i bogactwa.

A jednak Indye pozostają krajem wyrzeczenia się wszystkiego więcej jeszcze, niż krajem zbytku i dumy. „Zostawcie wszystko co posiadacie i pójdźcie za mną“ oto wezwanie moralnego bohaterstwa, a dusze indyjskie posłuszne są temu wezwaniu, często nawet wśród chwały, pychy, bogactw i blasku dworów cesarskich.

Ta żądza wzniosła, po nad wszystko stawiająca samotność w klasztorze, lub na pustyni, w jungli, lub na szczytach himalajskich, dziesiątkowała zawsze Indye, jak dżuma, jad węzów, głód i wojny.

Każdy asceta jest panem Indyj, królem bez berła i korony, bez innego majestatu, niż wewnętrzna jutrzienka, której jest świadectwem i świadkiem.

Od niego mamy Wedy i anonimowe Upaniszady, będące rozmyślaniami, wypowiedzianymi w samotności i powtarzanymi z ust do ust, zanim zostały

ujęte w zimną księgę; od tego groźnego samotnika, wypłynęły pierwiastkowe prawa, dziś źle zrozumiane i przedstawiające, ale które stanowiły siłę tego kraju, pierwszą kolebkę innych ludów.

Może być, że Indye doszły do upadku jedynie dla tego, że ta nieporównana przywara zgładzona została. Gdy soki mistyczne zostały wyczerpane, zwiędły wojownicze ramiona wielkiego organizmu, wyschła jego uczona głowa i z siłą fizyczną stracił swą promiennność intelektualną i moralną. Dziś jeszcze pozostał ślad tej starożytnej supremacji. Żebrak, który wszystkiego się wyrzekł, by prowadzić życie panteistyczne, jest jeszcze uważanym przez radżów i branimów za coś wyższego. Ten biedak odbiera cześć od bogatych, inteligentnych, ulubieńców fortuny i władców. Ponad tronami, ponad pałacami i pagodami, ponad uniwersytetami i obozowiskami, ludy, uczeni i książęta stawiają i czczą szaląs yoghi, skórę pantery, na której „sanyasi“ rozmyśla, a popiół, którym nagi wyznawcy Sziwy osypuje się na znak pogardy dla znikomego przepychu, zbieranym jest rękami pobożnymi z większą czcią, niż wszelkie skar-

by Golkondy i perły Ceylonu. Wojowniczy, lubieżny i brutalny Islam nie mógł stłumić tego uporczywego błagania o coś wyższego ponad wszystko inne, a niewidzialnego! Na dworach mongołów, żądnych zbytku i władzy, wyrastał czasami kwiat mistyczny, pragnący być pięknym tylko wewnętrzną pięknnością, wyrzekający się piękności zmysłem podpadającej i rozlewał woń swoją, której nawet czas zetrzeć nie potrafił.

Delhi „krajowców” nie posiada starożytnych wspaniałości. Podobne jest do innych miast Indyj, malowniczych, chorobliwych, brudnych i jak mówią Anglicy „nieprzyzwoitych.” Główna ulica zapełniona jest rozmaitego rodzaju sklepami. Tam ociera się o siebie cały naród kosmopolityczny, o różnem ubarwieniu skóry, mówiący najrozmaitszemi językami jak w bazarach Konstantynopolu lub Damaszku.

Nędzne domki tej ulicy, gdzie łączą się obok siebie banki, meczety, sklepy, przybierają jednak pozory pałaców z balkonami i kolumnadą, ale kamień ich jest ordynarny, drzewo zepsute, spłowiałe, opadający tynk dopełnia reszty. Woły strojne w girlandy ja-

śminowe, śpią na bruku; małpy wspinają się do okien sklepów, kozy gryzą sałatę, z którą wędrowni przekupnie rozłożyli się na drodze.

Jesteśmy jednak na szerokim, długim na milę bulwarze; podwójny rząd tamaryndów rzuca cień na pył i brud cuchnący gorączką.

Na ulicy indyjskiej zapach kadzideł miesza się z wyziewami tytoniu, zroszonego wodą różaną, i z wonią zgnilizny.

Wystawy sklepów bardzo są biedne, ale jeżeli zwiedzający zada sobie trochę trudu, to odkryje w głębi tych sklepików przepyszne klejnoty, sprzedawane na wagę złota lub srebra — tak praca ręczna mało jest ceniona! cudowne tkaniny, szale z Kaszmiru, wytworne malowidła i tak pracowicie rzeźbioną kość słoniową, iż nieraz nad jedną sztuką pracowały całe generacje artystów.

W kącie, jak złocona pułapka na myszy, wznosi się zgrabny meczet, nie większy od dużego domu krajowców; i uśmiecha się oknami, jak szeroko otwartymi ustami...

Z tego schronienia na rozmyślanie przeznaczonego, Nadir-szach, fanatyk,

wydał rozkaz rzezi. Ten pers, złodziej, bigot i morderca modlił się na tych kojących płytach, gdy z jego rozkazu lała się krew, a krzyki umierających jak huk morza dochodził aż do niego. Gdy się dowiedział, że sto pięćdziesiąt tysięcy bałwochwalców zginęło, uznał, że gniew Allacha musi być zaspokojony i wypowiedział wreszcie słowo, które wstrzymało zapal morduujących.

Indusi pokazywali mi, bez żadnej niechęci ten zdradziecki i ładny meczet. Zapominają prędko, chociaż są mściwi jak dzieci. Okropna historia, którą opowiadają, jest dla nich tylko nowym wabikiem na podróżnego i mają nadzieję otrzymania przez to kilka rupij więcej.

Nazajutrz, widziałem jak rozpoczęli walkę religijną, gdy spotkały się dwie procesye: braministów i mahometan.

Czas nie przyczynia się do postępu moralnego; tylko wielcy ludzie tchnieniem swem potężnem, a dobrem, podnoszą chwilowo ludzkość, popadającą znów w swe błędy, nałogi i zbrodnie.

Zasady sprawiedliwości, religii tolerancyjnej, litości ogólnej, były uroczyście wygłaszane w Indyach, o wiele



wcześniej zanim wybuchnął fanatyzm dzieci proroka. Wzniosłe zasady znikły w tych tłumach, które powróciły do swej dzikości; dawne idee żyją tylko jako wspomnienia historyczne, w skąpych i podejrzliwych umysłach kapłanów.

---

### Lahora i Amritsar.

Przyjeżdżam w nocy, niema powozów, tylko jakieś wózki, niewygodne o jednym koniu, gotowe wywrócić się lub złamać; a do tego koń nie chce iść, lęka się każdego drzewa, każdego kamienia.

Hotel Lahora, gdzie się zatrzymuję, zbudowanym jest na wzór hoteli indyjskich; rotunda pośrodku, a po bokach dwa długie, bardzo niskie skrzydła. Dookoła obiega weranda, gdzie odpoczywają wędrowni przekupnie „bairasi,” majordomowie i boye, drzemiący i śmiejący się, żyjący w zgodzie z woźnicami, kupcami i przewodnikami. Skrzydła zamieszkują kawalerowie, a pokoje dla małżeństw przeznaczone, wychodzą na salę.

W środku wewnętrznego dziedzińca, małą łączkę zamieniono na jeziorko, zapewne, żeby odświeżyć otaczającą atmosferę.

Takim jest największy hotel w mieście. Na szczęście, spałem, chociaż snem przerywanym, w drodze; umieszczono mnie w wagonie idącym tylko do Lahory.

Ta opieka ojcowska a szorstka, mająca swe zalety, gdyż jest pewną, charakteryzuje anglików.

Nazajutrz wszystko się układa. Na nieszczęście, wiedzą, że jestem francuzem. Właściciel traktuje mnie bardzo uprzejmie, ale służba jest niemożliwa, takiej niedbałości nie spotkałem w żadnym mieście indyjskiem.

Zniechęcony do ludzi, pragnę znaleźć ukojenie, chroniąc się na łono natury, ale napróżno!

Należy się wystrzegać traw, kryjących węże lasów, cieniów ładnych jeziorek, rzek powabnych (wszystkie te wspaniałości, te czary—to febra w perspektywie), trzeba się przedewszystkiem wystrzegać tego słońca straszego, palącego oczy i zabijającego swemi promieniami.

Dzikię zwierzęta wrzaskami swemi mącą czystość powietrza, drapieżność jakaś rozlewa się w całej okolicy. Zwiedzam ogrody Lahory, posiadające dzięki darom radżów piękne fontanny, drzewa i zwierzęta wybrane. Tak gnębi mnie coś okropnego, że nawet białe pawie, może najpiękniejsze zwierzęta na świecie, wydają mi się ohydne i złe. Patrzą jak roztaczają swe śnieżne pióra przed memi zdumionemi oczyma, ale zakrzywiony ich dziób grozi nieustannie; małe główki gotowe rzucić się w każdej chwili na inne spokojne pawie, o które są zazdrosne.

Im więcej zbliżam się ku Afganistanowi, tem więcej czuję niechęci, lub przynajmniej niewiary u krajowców, szczególnie, gdy spostrzegli, że nie jestem Anglikiem, że jako cudzoziemiec nie wzbudzam takiej obawy. Straciłem więc złudzenia co do Indyj, nie wierzę już urokom tego pięknego kraju.

Jestem coraz gorzej obsłużony. Rozian, mój „boy“, ulega ogólnemu rozleniwieniu, wypływającemu ze straszniego klimatu, nie do zniesienia w mieście otoczonem pustynią. Zima tu jest dość chłodna, ale lato piekielnie go-

raçe. Któregoś popołudnia miałem nadzieję, że spadnie deszcz dobroczynny. Zwykle szaro-niebieskie niebo, ściemniało, jakby zgęstniało. Dziwny dreszcz, poprzedzający wielkie zjawiska atmosferyczne, przebiegł po krzewach parków, otaczających europejskie domy. Nagły wiatr wstrząsnął moim „garry.” Koń przeląkł się. Zostałem oślepiony strasznym huraganem z piasku; cyklon jakiś, przewracał nas, tworząc wokoło noc szarą. Woźnica zeskokczył z kozła i przytrzymał konie, krzycząc, by ostrzedz inne wehikuly, niewidzialne po za tym ruchomym murem piasku, ale obecność ich zdradzały rżenia koni i wrzaski powalonych na ziemię ludzi. Nareszcie wszystko się uspokoiło. Spokój piekący, nieruchomość wyschłego krajobrazu, zastąpiła chwilowy huragan.

Jadąc, spotykam wciąż ludzi, pozbawionych wszelkiej odzieży. Myślałem, że to asceci. Przewodnik wyprowadził mnie z błędu:

— Chodzą tak, bo nie mają nawet kilku groszy na kupienie kawałka płótna.. Nie mamy przemysłu. Wszystko otrzymujemy z Niemiec lub Anglii...

Rolnik żyje jeszcze jakoś, ze swymi dwoma, trzema anna dziennie, jeżeli rok był dobry i ziarno obrodziło, ale gdy deszcze były zbyt obfite, lub niedostateczne—jest zgubiony; głód straszliwy, nielitościwy, dziesiątkuje ludność; nie wspominam już o dżumie!

Idziemy do fortu! zbyt jest zrujnowany, zbyt często był opisywanym, by zasługiwał na nową wzmiankę; zresztą jakże go porównać z fortem w Delhi lub Agra?

Towarzyszy mi żołnierz angielski; pokazuje mi on stary oręż, świadczący o dziwnym umyśle indusów: pomyślowym i dziecinnym. Pistolety będące jednocześnie szablami, armaty dla wielbłądów, siekiery o zębach piły, podkrecone sztylety...

Zdaje mi się, że patrzę na broń czarowaną, przedhistoryczną—lub też na tę potężną w imaginacyi, szczególnie hypnotyczną, której używali bohaterowie Ramayany. Zresztą to wszystko jedno, żelazta te były skropione szlachetną krwią i kochałbym je, gdyby służyły do wywalczenia niepodległości narodu. Ale one były strasznym narzędziem w walkach bratobójczych, służyły zazdrosnym sek-

tom, tępiącym jedna drugą: mahome-  
tanie, indusi objęci szaleńcem fanatyzmu,  
ułatwiali wykonanie planu najeźdców...

\*

Innego wrażenia doznaję na grobie  
maharadży Rangit Sinh. Odczuwam tu  
duszę starej Indyi, sentymentalną i re-  
ligijną. Tu w Lahorze, jak i w Am-  
ritlar, uderza mnie szczególny kult  
Księgi, zbliżający się do kultu śmierci.

Piękny grobowiec ze swemi marmu-  
rowemi lotusami rozkwita dumnie.  
Tam pogrzebiony śmiały wojownik,  
który zmusił Shah Sujaha do wydania  
sławnego brylantu Koh-i-Noor, będą-  
cego odtąd własnością korony angielskiej.

Brylant ten, jak mówią, był znale-  
ziony w kopalniach Golkondy i był  
ozdobą radży Karnaku, jednego z bo-  
haterów Mahabharaty. Było to przed  
pięciu tysiącami lat!

Muzułmanie w końcu wydarli go in-  
dusom. Cezarzowie mongolscy posia-  
dali to cudo, aż do chwili gdy Nadir-  
szach zagarnął Delhi.

Ten klejnot przedstawia tajemniczą  
wspaniałość Indyj, którą się zdobywcy  
podzielili. Wartość jego, zdaniem hy-

berbolicznych złotników tego kraju, równa się kupie drogich kamieni i złota, zajmującą przestrzeń, jaką przebiegnie pięć krążków, rzuconych ręką silnego młodzieńca, w cztery strony świata i w stronę nieba!... Inni twierdzą, że wart jest tyle, ile przynieść może świat cały, w ciągu jednego dnia. Teraz został oszlifowany i może być noszony w branzolecie lub naszyjniku.

Ale ten brylant, nie zdoła uchronić od śmierci.

Rangit Sinh posiadał go i umarł, jak i królowa Wiktorya.

### *Wąż.*

Leżałem już pod mustikierą i zgasiłem małą lampkę—świece nie istnieją w Indyach — gdy mój służący Rozian, śpiący jak zawsze na werendzie, wpadł przerażony.

— Sáb, kobra wszedł tutaj... widziałem jak przechodził próg twego pokoju....

Zrywam się. Kobra! Nocny wąż, którego ukąszenie śmiertelne, zwierzę, czczone w świątyniach, Sziwa otacza

sobie nim szyję, jak żywym fularem, on! co zgładza corocznie tysiące krajowców, chodzących zawsze bosy!

Prędko zapalam lampę i szukamy.

Ileż to razy w ogrodzie, w około tego domu niezamkniętego, zdawało mi się, że słyszę pełzanie wroga. Lecz dotąd widziałem go tylko wypchanego w muzeach, lub pozbawionego zębów, służącego fakirom do rozmaitych ćwiczeń. Myśl o nim nie dawała mi spokoju, w tym kraju, będącym jego ojczyzną, którą stworzył na swój obraz i podobieństwo...

— Sáb, chcesz zabić kobra?

— Przedewszystkiem, chciałbym go znaleźć Rozianie...

A to mi się wydaje tak trudnem, jak niezbędnem.

— Chcesz więc go zabić, Sáb?

— Dlaczego nie, Rozianie?

Rozian milczy.

Obserwuję go, wydaje mi się coraz fałszywszym i zamkniętym w sobie, powieki ma spuszczone. Widzę, że nie z niego nie wydobędę, jeżeli nie przeniknę jego myśli.

— A ty nie zabiłbyś kobra, chłopcze?

— Sáb, to nie dobrze zabijać zwierzęta...



— Ale jeżeli ty go nie zabijesz, on cię zabije.

Rozian robi ruch obojętny.

— Każdy ma godzinę śmierci wypisaną w księdze Allaha.

Namysliłem się. Dlaczego miałbym zabijać kobra? Dotąd, zmusił mnie tylko do bezsennej nocy. Zląkłem się, ale on przecie spełniał tylko swe zadanie węża?...

Indye natchnęły mnie szacunkiem dla zwierząt, nawet szkodliwych.

— Nie zabiję kobra, Rozianie, ponieważ ci to przykrość sprawia. Ale pod warunkiem, że uwolnią mnie prędko od niego...

Ciemna skóra Roziana rzeczywiście zdaje się wyjaśniać. Zadowolniłem w nim geniusza rasy. Staje się ufnym i rozmownym.

— Sprowadzę „snakemana“ (pogromca węzów) Sáb. Za dwadzieścia pięć rupij zabierze węża, nie robiąc mu nic złego, jak kwiat jaki, i poniesie go daleko ztąd, na łąkę. Bez obietnicy oszczędzania węża, należałoby zapłacić daleko więcej, gdyż „snakeman“ jest indusem; on czei w wężu wcielelenie samego Sziwy, i byłoby to dla

niego wielkim grzechem, gdyby miał go zabić.

Zrozumiałem. Obowiązkiem boya jest wyciągnąć z Saba jak najwięcej pieniędzy.. w nocy. Rozian odmówiwszy modlitwy do Proroka, zadał sobie pytanie, w jaki sposób mnie wyeksplloatuje, zdarzenie z wężem nasunęło mu niespodziewaną okazję, odgaduje bowiem, że podzieli się zdobyczą ze „snakemanem.” Kto wie, czy sam nie skierował kobra do mego pokoju, by wypróbować, czy hojnym będę?..

\*

— Sprowadziłem „snakemana.” Jest tam pod werandą ze swym koszem i fletem.

Najwidoczniej scena była z góry przygotowana.

Ale zgadzam się na wszystko, gdyż z przyjemnością zobaczę jak poradzi sobie ten fachowiec, z odkryciem gadu indyjskiego.

Cały nagi, dość piękny choć szczupły, z lekką zasłoną na biodrach zawiązaną; dziwnem zrzędzeniem wypadku, potwierdzającym teorię Taina,

o środowiskach, nadzwyczajnie przypomina węża, on! żyjący z nich.

Mowa jego (nie zna ani słowa angielskiego) jest rodzajem syczenia przez zęby; oko pływa w żółtym płynie, czaszka spłaszczona, prawie naga z długim kosmykiem, zwisającym na plecach i skaczącym jak czarna jaszczurka. Rożaniec z olbrzymich paciorków otacza jego giętką i ruchliwą postać; a nogi tego człowieka podobne są do małych węzów, wyginających się, skręcających, rozkręcających się w każdej chwili,

Nizko mi się kłania, dotykając czoła, gdzie wymalowany szkarłatny trójzab Sziwy; a gdy podnosi się, przypomina kobrę, zabierającego się do skoku.

Wyjmuje ze swego kosza flet i przechadza się po pokoju aksamitnym krokiem, grając dziwną melodyę niepodobną do żadnej znanej, złożoną, rzekłbyś z monotonnej skargi kobiety i szmerów lasu.

— Usun się Sáb—rzekł mi Rozian.—  
Waż nadejdzie, zwabiony fletem.

Waż niedowierza zapewne; nic się nie ukazuje. Gdybym nie musiał zachować w obec tych czarnych mej

powagi europejczyka, chętniebym się wyniósł do ogrodu... Jednak ciekawość i miłość własna odnoszą zwycięstwo. Zostaje.

Snakeman gra wciąż swą melodyę, która w końcu niepokoi mnie. Aksamiitne jego kroki przenoszą się do ubieralni, pochylił się trochę i chciwymi oczami wyszukuje gadu.

Idziemy za nim i nagle, ku wielkiemu memu zdziwieniu, jedna noga stołu na którym złożyłem me gąbki, nabiera życia. Mała, żółta główka podnosi się, a rozdwojona nitka drży między zębami, podobnemi do dużych główek wyżłobionych igieł.

To kobra, to rzeczywiście on. Patrzę na niego, jak na coś drogiego, subtelnego, niebezpiecznego, ale jedyne, czego więcej zapewne nigdy na swobodzie nie ujrzę. Schronił się więc tu, przerażony światłem; oblewałem się wodą przy nim; opierałem się o ten stół, stawiałem dzbanki z wodą! Nagi, stanęłem przed wrogiem, nie widząc go... Znów błogosławię los, który mnie ocalił w tem strasznym niebezpieczeństwie, na spotkanie którego szedłem z nieświadomością dziecka. Teraz zresztą zapominam o nie-

bezpieczeństwie, by rozkoszować się widokiem. Kobra pod wpływem muzyki, rozwija się, jak wstęga niewidzialną ręką ciągniona. Oczy snake-mana dotąd zgaszone, zapalają się; hypnotyzuje zwierzę, naśladuje szyją jego ruchy, cofa się, pociąga go ku sobie siłą spojrzenia, wpływem muzyki barbarzyńskiej.

Kobra rozkręcił się już cały, jest mały, żółtawy, cały upstrzony dachówkowatą łuską. Najwidoczniej z gatunku najdoskonalszego, ma królewski chód.

Podnosi się do połowy, wsparty na skrętach leżących na ziemi i posuwa się wolno, dumnie; skóra na szyi gorąco żółta, roztwiera się jak kielich orchidei, lub drzewiczki relikwiarzyka; plamy, tworzące różowe okulary, dopełniają strasznej piękności małego stworzenia.

Oto zbliża się już do pogromcy, który powoli i pewnie uderza ręką po płaskiej główce. Cztery ciemne palce obejmują nabrzmiąłą szyję, nie lękając się ukąszenia, a wielki palec przyciska mózdzek, wywołując natychmiastową katalepsyę. Wąż jest bezbronny, sztywny; flet ucichł, ale ko-

szyk pozostał otwarty. Szybkim ruchem indus zamknął w trzecim więzieniu; zahypnotyzowanego węża.

Stanowczo nie żałuję wzruszeń dzisiejszej nocy, dały mi one możliwość widzenia tej sceny... Rozian i indus oddalają się i słyszę jak rozmawiają po cichu; dzielą się memi pieniędzmi, ich zdobyczą.

---

### *Indye dzisiejsze.*

Zwiedzając Indye, zrozumiałem dziwne zachowanie się indusów inteligentnych wykształconych, spotykanych w Europie lub Azji, którzy irytowali mnie takim zdaniem;

— Jeżeli pod pewnym względem panowanie Anglii wydaje się złem dla naszego kraju, to w każdym razie, jest ono złem nieuniknionem!

Zdanie to, podzielają prawie wszyscy indusi. Jeżeli będziesz usiłował wzbudzić w nich dawny ferment niezależności, lub błysniesz im nadzieją słodszej opieki, kiwają sceptycznie głowami.

— To prawda—mówią—my jesteśmy niewolnikami, a oni panami, ale to

są najwięksi władcy świata! Ich cywilizacya jest najlepszą w waszej Europie.

Wpływ Anglii ma swą i dobrą stronę; ona zwalcza głód z zapalem i wiedzą; z dala może się to wydawać podejrzanem, ale gdy się na te usiłowania z blizka patrzyło—tylko podziw wzbudzić muszą.

Ona stworzyła kanały irygacyjne, które pustynie środkowe zamienia na żyzne łąki. Jest nadzieja, że głód zmniejszy się, a nawet zniknie, dzięki tym dobroczynnym kanałom.

Oszczerstwem jest twierdzenie, że Anglia gotowa jest podtrzymać głód i dżumę, by osłabić Indye i tym sposobem utrzymać je w zależności. Anglia nie potrzebuje takich środków, by utrzymać ten kraj; wystarczają jej te, któremi ucziwie rozporządza.

Widziałem okolice głodem dotknięte, patrzyłem na usiłowania ciała medycznego, by dżumę powstrzymać. Tutaj anglicy robią wszystko co mogą; napotykają na wielkie przeszkody ze strony ciemnego, przesądnego, leniwego ludu.

— Ci ludzie lecząc nas, muszą mieć

jakaś wielką osobistą korzyść; nie chcemy być przez nich oszukiwani.

Pojęcie ludzkości i filantropii, nie przenika do takich umysłów. Cokolwiek się dla nich robi, myślą że się ich wyzyskuje. Jak istoty słabe, rozumieją tylko prawo egoizmu.

Co się tycze głodu, przyznać musimy, że można zrobić pewne zarzuty administracyi angielskiej.

Otworzyła ona składy, skąd płynie żywność dla zgłodniałych; chorzy i niedołężni też otrzymują pomoc. Ale nie miano odwagi zaprotestować przeciw zawziętym spekulacyom kupców, którzy skupują zbiory, korzystając z chciwości krajowców, tak nieostrożnych, że żadnych zapasów w swych spichrzach nie zostawiają. Gdy zły rok nastaje, kupcy mający pełne magazyny, grają na zwyżkę, wskutek czego mrą z głodu tysiące, a nawet miliony jednostek.

Na rynkach Bombaju i Kalkuty w czasie głodu, leżały wory zboża i rozmaitego ziarna, skapstwem negocyantów dopędzane do bajecznych cen. Z tego punktu widzenia, koleje żelazne zamiast wwozić do prowincyi nieszczęściem dotkniętej, nadmiar produktów



szczęśliwszej prowincyi, posłużyły do wywiezienia do portów bogactw ziemi, która już swego ludu tym sposobem nie żywiła. Najlepszym na to środkiem są te nowo wykopane kanały irygacyjne.

Co się mnie tyczy, to powiedzieć muszę, że zacząwszy od wice-króla, który raczył zaprosić mnie do siebie na śniadanie, aż do ostatniego, „station masters“ podróżowałem po Indiach angielskich, pod opieką iście ojcowską, otoczony sympatją, dla mnie francuza większą niż dla innych Europejczyków. Bardzo zręczna administracya, poczty i telegrafy doskonale urządzone, handel kwitnący, który z Bombaju i Kalkuty uczynił porty pierwszorzędne w świecie, pchnął Indie na drogę postępowego ruchu wielkich krajów europejskich. Naturalnie, to ulepszenie jest głównie zewnętrzne, ale niemniej jest ono pewne.

Bardzo wygodne drogi żelazne, tak są rozumnie przeprowadzone, że można szybko przebyć całe Indie o godzinach naznaczonych i w najlepszych warunkach. Dobrze byłoby nawet, gdyby nasze kolonie, nie wspominając o niektórych naszych departamentach,

tak były poprzecinane kolejami, jak większość prowincyj indyjskich. Oto przysługa, istotnie wielka, jaką Anglią oddała tej ziemi; sprawiedliwość każe to przyznać. Wielka Brytania łącząc ze sobą te ludy rozrzucone, budzi ogólną samowiedzę. Trzeba widzieć na stacyach te hałaśliwe stada ludzi, o skórze ciemnej, odziane w barwne gałgany; pięć narzeczy styka się z sobą; najrozmaitsze obyczaje ścierają się z sobą; zupełnie nieznani sobie ludzie przyjaźń zawierają. Wkrótce całe terytoryum tworzyć będzie właściwie, jeden społeczny organizm. A dnia tego, tak oczekiwane zbudzenie się Indi, zacznie się objawiać. W cierpieniu, niewoli, pod ciężarem podatków, Indye angielskie czuć się będą jedną wielką ojczyzną. Przy zetknięciu się z praktycznym zwycięzcą rozumieją, że marzenie i upojenie jest szkodliwe, że czyn jest rzeczą dobrą, a życie wziętsze niż wegetacya...

KONIEC.

## NAKŁADEM „ZIARNA”

wyszły następujące książki —  
jako dodatki bezpłatne:

- DZIEJE POLSKI* przez *W. Tyszkę*, z portretami królów i książąt polskich, według *Jana Matejki* (2 tomy).
- LITERATURA POLSKA*, w krótkim zarysie, przez *W. Koscińskiego* (2 tomy).
- PANORAMA WIEKÓW*, przegląd historii powszechnej (z rysunkami) przez *M. Remi* (2 tomy).
- OBRAZKI Z JAPONII*, opis kraju i ludzi (z rysunkami) przez *Juljusza Starkla* (2 tomy).
- GNIAZDO PRUSKIE*, dzieje rozwoju Prus, przez *Pawła d'Este*, spolszczył *H. Michałowski* (2 tomy).
- PIĘKNO W BUDOWLI*, zarys dziejów budownictwa (z rysunkami) przez *S. Jeleńskiego* (2 tomy).
- DZIEJE ELEKTRYCZNOŚCI* według *Jewolda* (z rysunkami) opracował *Henryk Wernic*. (1 tom)
- SZANUJMY ZDROWIE*, przepisy higieny przez d-ra *H. Urbana* (wyczerpane).
- RADY I WSKAZÓWKI* jak się ustrzedz chorób płucnych przez dra *Ant. Groszlika* (1 tom).
- LĄDY I MORZA EUROPY* przez *M. Dzierwańskiego*. (1 tom).
- ŚWIAT ROŚLIN*, krótki rys botaniki (z rysunkami) przez *W. Tańskiego* (2 tomy).
- ŚWIAT ZWIERZĄT* krótki rys zoologii (z rysunkami) przez *R. Wierzejskiego* (2 tomy).

Ciąg dalszy na stronie następnej.

K. 1230-2



1000000000133

SŁOŃCE I PA  
sunkami  
Totwińsk

SŁOŃCE, co  
sunkami

ZYCIE MOR  
go (1 tom).

CHEMJA W ZARYSIE (z rysunkami) przez B. Gładycha (1 tomy).

PRAWA PRZYRODY, główne zasady fizyki (z rysunkami przez A. L. Szymańskiego (2 tomy).

GWIAZDY I LUDZIE, zarys astrologii (z rysunkami) przez A. L. Szymańskiego. (1 tom).

WYCHOWANIE DZIECKA według B. H. Gausserona, przez H. Michałowskiego. (2 tomy).

Z POD SERCA wiersze i śpiewki Kazimierza Laskowskiego (Ela) (1 tom).

SKARBY PRADZIADOWSKIE powieść historyczna z XVII wieku przez Walerego Przyborowskiego (1 tom).

SZCZĘŚCIE powieść przez Kazimierza Laskowskiego. (2 tomy).

W CUKROWNI, powieść przez Kazimierza Laskowskiego (2 tomy).

**Nowi prenumeratorowie „Ziarna“ mogą powyższe książki nabywać razem lub oddzielnie po 30 kop. (z przesyłką pocztową 40 kop.) za tom oprawny w wyborowe płótno angielskie, z pięknymi złotocnymi wyciskami.**